JERZY SOSNKOWSKI
CZERWONE WYŁOGI
NAKŁADEM KSIĘGARNI W. JAKOWICKIEGO
WARSZAWA 1917

CZERWONE WYŁOGI

JERZY GODZIEMBA-SOSNKOWSKI

CZERWONE WYŁOGI

SZKICE i OBRAZKI

NAKŁADEM KSIĘGARNI W. JAKOWICKIEGO
BRACKA № 23. :: :: :: WARSZAWA 1917.

CM 314716

PRZEDRUK, PRZERÓBKA I TŁOMACZENIE WZBRONIONE.

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau
den 11/XII 1916. T. № 3824. Dr. № 69.

DRUK W. PIEKARNIAKA, WARSZAWA, OKÓLNIK 5-a (ZA CYRKIEM).

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 157 /2011/ CM

Kolegom i Towarzyszom, podoficerom i szeregowcom 3 plutonu 1 szwadronu I-go pułku ułanów Beliny poświęca

AUTOR.

I.

W LUBLINIE.

Jak to było ładnie kiedy do Lublina!
Na czele ułanów wjechał pan Belina.

Ale najpierw tego pogodnego dnia lipcowego na Krakowskiem zadźwięk̨ły podkowy patrolu 1 szwadronu. Czterech zuchowatych chłopaków, tocząc końmi — ukazało się na ulicach Lublina. Ludność, wystraszona awanturami i zamętem, towarzyszącemi odwrotowi Rosjan, steroryzowana przez kozaków, przepłoszona odgłosami wystrzałów armatnich i bitewnym echem — kryła się po domach, wyglądając nieśmiało z poza zapuszczonych firanek i rolet.

Rozległ się tętent i czterech kawalerzystów w czapkach dziwnego formatu przebiegło ulicą. Co to za czapki?

Co to za wojsko?

Kaszkietów dziwny kształt przypominał coś, — gdzieś się widziało już te kanciaste i wysokie hełmy...

Austrjacy? Prusacy?

Nagle gruchnęło po mieście:

— Legjoniści!

Legjoniści! Firanki i zasłony uniosły się, jak powieka przebudzonego oka.

Nasi ułani otoczeni zostali nagle tłumem, aż konie niespokojnie prychać poczęły, czując dookoła ciżbę. Setki ramion

wyciągnęły się w górę z podarunkami — tysiąc kapeluszy frunęło w powitaniu:

— Vivat, — niech żyją!

Okna się roją od widzów rozgorączkowanych, zemocjonowanych. Figurki dzieci wznoszą się nad głowami, by lepiej widzieć mogły. Już na rogu, starzec jakiś zgrzybiały, co zwlókł się z fotela od lat nieopuszczanego by „ich" zobaczyć,— przystanął i trze stare oczy i płacze. A poczciwi ułani zgłodzone gęby zapychają ciastkami i mrugają na wsze strony z uciechy.

Spadły z kaszkietów kapy — błysnęły orły.

Cztery ułańskie czaka, godła dawno zamarłe, opłakane, zagrzebane w katakumbach wspomnień — ptaki muzealne — symbol serc i duszy polskiej, — chwieją się znów nad ludem,— znów żywe i pełne chwały.

— Ułani.

Wionęło znów, a wiatr porwał serdeczne imię i roznosił po najodleglejszych zakamarkach starego grodu, jak usłużny plotkarz.

Jednej i drugiej uroczej Lubliniance zadrgało lubo serduszko, — aż przypędzona fala krwi zabarwiła twarzyczkę szkarłatem po same białka.

— A słowo ciałem się stało! — wyszeptały różowe usteczka.

— Stało, stało! — wrzasnął na cały głos brat, gimnazista, wpadając, jak kula do pokoju, — ułani, prawdziwi ułani z krwi i kości są w mieście!

I znów wypadł.

— Ułani!

Na ulicę wyległ nowy tłum — niewieści.

Piękne, piękne Lublinianki. Ułani, długo pozbawieni widoku płci pięknej — pożerali wzrokiem tę obfitość jasnych strojów, zgrabnych figurek, ślicznych buziaków i ciemnych oczął.

O, gdybyście wiedziały, piękne panie lubelskie, ileście rozkoszy sprawiły swoim widokiem, biednym półzdziczałym już żołnierzom!

W pół godziny potem miasto wyglądało, jak mrowisko, w któreś kij wsadził. Legjoniści byli ledwie, że nie na kęski rozrywani przez gościnnych mieszczan, z których każden chciał mieć u siebie Piłsudczyka.

Grzmi ulicą na koniu szesnastoletni sztubaczyna w mundurku i bije zwierzę, że biedne ledwie ze skóry nie wyskoczy: ukradł ojcu z biurka dwie storublówki — kupił konia i jedzie „zaciągnąć się do ułanów".

Na trotuarze też ich grupka: jeszcze gimnazyalne płaszcze na grzbiecie, — ale na głowie siwa maciejówka z „orzełkiem" i groźna olbrzymia rosyjska „szaszka" huzarska sypie iskry z bruku.

To już Piłsudczycy.

Salutują przechodzących oficerów Legjonów wyprężeni tak, że aż ciasne uczniowskie mundurki trzeszczą i pękają.

To nic. Nie potrzebne już.

Jutro dostaną obszerną siwą bluzę...

W restauracjach, cukierniach gwałt i ścisk. Częstowanie wyczekiwanych długo żołnierzyków.

Idzie cała rodzina. Ojciec, matka, córeczka, pensjonarka z 8 klasy z uwielbieniem wpatrzona w kokoszącego się obok niej młodzieniaszka lat dziewiętnastu w kusym ułańskim koleciku, i przy szabli. „Złapany" na kwaterę.

Modre ślepki panienki parzą się o ogień wyłogów i z nabożeństwem sięgają rogatej czapy. Na opalonej, czarnej twarzy młodego chłopaka mars srogi, — chód i postawa, conajmniej Aleksandra Macedońskiego.

I znów okrzyk:

— Niech żyją!

Wiśniowe wargi panienki powtarzają:

— Niech ży...

Nagle urywa. Bo przychodzi jej wstrętna myśl do głowy. Oni nie tylko „żyją“ ale i umierają. Tam w polu. Więc i ten tu obok — ślicznota — miałby także... Och... modre oczki zachodzą łzami i smutnieją bardzo...

— — — — — — — — — — —

Na ulicy ciągły zamęt i tumult radosny.

— Ach. Mamusiu, patrz, jaki ten ułan ładny!

— Nie krzycz tak głośno, — ludzie słyszą.

— Kiedy taki ładny! — tuli się do ramienia matki skarcona dziewczyna.

I koronkowa, pachnąca chusteczka spada na ziemię. Szarmancki Beliniak przyskakuje zgrabnie i zgięty w dworskim ukłonie wyciąga rękę z chustką.

Spojrzał na brzoskwiniowe policzki, czerwone usta i zawahał się.

— Czy można zachować na pamiątkę?

Zaczerwieniona dziewczyna spogląda na matkę i mimowoli przyzwalająco skłania głowę.

Chustka ginie za pazuchą, ale ułan nie odchodzi.

Ja pani coś ofiaruję wzamian. Skromny dar żołnierski, ale serdeczny.

Odpięty od piersi mały orzełek metalowy przechodzi do białych rączek.

Dziewczyna jeszcze odurzona przygodą, patrzy za oddalającym się sprężystym krokiem chłopakiem. Potem nagle gorące wargi przyciska do znaczka, zawiesza go na srebrnym łańcuszku obok medalika i wpuszcza za bluzkę, między dwie krągłe ścianki cudnej i ciepłej kołyski...

— — — — — — — — — — —

W restauracji awantura. Kilku ułanów poczubiło się niewiadomo z kim, — i ów „ktoś“ wyleciał za drzwi. Wpada na to młody porucznik.

— Co wy tu wyprawiacie? Awantury, bijatyki? Ban-

da, psiakrew! Baczność! Jazda jeden z drugim z knajpy! Jutro do raportu!

Ułani wstają i wyprężeni jak lufy, stoją ponuro milcząc.

— Słyszano? Marsz!

Ułani nie drgnęli.

— Co to? Niesubordynacja? Psiakrew strzelać będę!

— Strzelajcie, poruczniku, nie wyjdziemy.

Porucznik wścieka się na zewnątrz, ale uśmiecha w duszy. Rad, że są tacy. Ba, pewnie i on by na ich miejscu nie wyszedł. Wstyd! Lepiej kula w łeb! Oczywiście o strzelaniu niema mowy. Ze stanowiska przełożonego musi kląć i złościć się, ale przecież to jego koledzy i przyjaciele najlepsi. Rangą niżsi? To nic przecie. I radby jakoś wybrnąć z sytuacji, żeby nie ucierpiała na tem godność zwierzchnika. Pomoc zjawia się w postaci poczciwego Lubliniaka, który gości naszych zuchów. Przerażony zrazu krzykiem oficera, widzi, że ten groźnych zamiarów niema, więc podchodzi z ukłonem.

— Panie poruczniku, proszę wybaczyć. Moja wina. Zaprosiłem tych panów — wypiliśmy sporo. Owi gbury — impertynencje poczęli gadać. — Porucznik odsapnął z ulgą. Ale z marsem:

— No, dobrze. Skoro Pan winę bierze na siebie...

A w następnym momencie wybucha serdecznym śmiechem.

— No, łyse byki, weźcież mnie do kompanii.

Między ułanami ruch. Urzędowanie skończone, są teraz cywilami.

— Masz Jasiek, siadaj i pij. A to ci się napyskował, stara małpa!

Porucznik pije, jak pompa.

— No, ale dostali chociaż morowo?

— Oczywiście. Inaczej nie warto by było łap mazać.

— — — — — — — — — — —

W kącie bramy zakonspirowało się dwu piętnastoletnich wyrostków.

— Gorący, tajemniczy szept.

— Więc jakże Stefek? Ja jutro wieję. Starzy nie pozwolą, wiem o tem. Mam dziesięć blatów — starczy. A ty?

— Boję się. Co matka powie?

— Baba! Trudno: popłacze i kwita. Za to jak wrócisz z gwiazdkami...

Chwila namysłu i nagła decyzja.

— Jadę z tobą. Wartoby wprawdzie zdać łacinę, ale nich ją tam.

— No, to rozumiem. Jutro o dziesiątej przy rogatce wolskiej.

— Będę. Rewolwer buchnąć?

— Naturalnie, no bywaj, pędzę jeszcze po Wicka. Więc— sztama?

— Sztama!

Odmrożone, czerwone ręce zamieniają uścisk i dwa cienie odrywają się od ściany.

— — — — — — — — — — —

— Panie Stanisławie, a do czego ten sznur?

— Sznur? Na branki. O widzi pani, tak się to robi.

Ułan odpina sznur i krępuje nim dłoń panienki — idą tak połączeni. Panienka chichoce zadowolona.

Chłopiec nagle pochyla się do jej ucha.

— To będzie naszą stułą na dzisiaj, panno Zosiu, dobrze?

Zapłoniona twarzyczka, słaby gest.

— Et!

Ale opozycja brzmi chwiejnie...

— — — — — — — — — — —

Wieczorem na Krakowskiem ścisk i gwar.

Wszędzie legjoniści — w kawiarniach, sklepach, restauracjach. Migają sylwety ułanów, a przy każdym uwieszona

kobieca wdzięczna figurka. Piechota z zawiścią patrzy na „kobylarzy".

Młody artylerzysta w rogatywce gniewnie ogląda się za ułanem, do którego przylepił się taki słodki buziak, że ogniomistrzowi aż we łbie huknęło, lepiej niż rosyjskim „kuferkiem".

W parku słabo przez zielone liście przebija światło lamp. Po ciemnych zakątkach i cichych alejach szept, śmiechy zduszone. — Wojskowa orkiestra gra mazura.

I naprawdę: „ułan pannie szepce w uszko i ostrogą dzwoni".

— — — — — — — — — — —

Stary gród rozmarzył się, rozsiadł szeroko i czuwa. Tysiącami szklannych oczu wpatruje się w to dziwo, dawno już zapomniane. Ożyło.

Stary, powoli, w błogiej zadumie, przymyka i gasi jedno po drugiem oczy niezliczonych okien.

Dobrze mu.

Z najmniejszego kącika starych murów ułański pęd wywiał smrodliwe zaduchy dziegciu i kadzideł.

Oddycha swobodnie.

A Warszawa?

Olbrzymie, balowe sale królewskiego zamku i pałacyku pod Blachą — puste, głuche i ciemne czekają jeszcze swych dawnych panów, albo ich spadkobierców. Prędko li otworzą się ogromne podwoje, by lunąć na taras szeroką strugą oślepiającego światła i wyrzucić z siebie tłum świetnych tancerzy w rzeźkie powietrze nocy?

Dotychczas tylko nikłe mary i cienie błądzą w krąg łazienkowskiego pałacu i wzdychając po krzewach, płoszą ukrytego w pasiatej budce najeźdźcę.

Tylko wązki bagnet błyska w księżycowej poświacie. Biały domek stoi głuchy, niemy, ślepy. Błyszczący liberją

sługus wyciąga bezczelną łapę po papier, zezwalający zagrabione świętości — obrabowanym obejrzeć.

Cynizm i ironja!

Stary gród pożałował nagle swej nadwiślańskiej siostrzycy! I potężnym tchem rzucił ku niej, w przestrzeń nowinę:

— Zmartwychwstała ułanja!

Usłużny wiatr porwał wieść i niósł w noc. Rozgonił szepty ciche nad mazowieckiemi piaskami: Zmartwychwstała ułanja!

Pod Jabłonną trącił o srebrną wiślaną taflę: zmartwychwstała ułanja! — aż bryznęła fala i brzegu kawał zdarła z wielkiej uciechy.

Wysokie pałacowe topole powtórzyły odzew:

Wreszcie wpadł na uśpioną Kanonję i huknął już gromko:

— Zmartwychwstała ułanja!

Ale nikt mu nie odpowiedział.

Więc, urażony, przytulił się w dzwonnicy popijarskiego kościoła i tylko gwizdał zcicha i przeciągle.

W jednym oświetlonym oknie Kanonji, pochylony nad modlitewnikiem siwiutki starzec wyprostował się i wytężył ucho.

Spojrzał w okno.

Hę?

A potem wstał, zdjął ze ściany starą oprawną w jaszczur szablę, wyciągnął z pochwy i jął oglądać klingę. Na klindze stało:

Pro patria.

A niżej:

— 1831.

— I jeszcze niżej.

— 1863.

Starzec wyjął z szuflady rylec i wyrył jeszcze:

— 1915.

— Jurek! — zawołał marszcząc brwi.

Z przyległego pokoju wsunął się rozespany chłopak.

— Stary podał mu broń. Ten wziął, przeczytał i spojrzał pytająco na ojca.

A on schylił się tajemniczo nad nim, wzniósł palec do góry i szepnął cichutko:

Zmartwychwstała ułanja!

II.

BEZBIEDERKA.

Brzeg bujnego, sosnowego lasu kłębił się nad roztoczą czarnej bałwaniastej roli, dołem sutym podszyciem, górą orkanem powichrzonych gałęzi, jak potok wiosenny, wezbrany, i niosący po sobie zwał potrzaskanej kry i bryzgi żółtej piany.

Wschodzące słońce złociło czubki igieł świetlistą polewą niby ostrza zatrutych strzał. Krwawe błyski przelewały się po krzach i zaroślach potoczystą falą, zapadały plamami w wyżarte wnętrza z kształtu do migdałów podobnych, jałowców, brązem kładły się na brunatnej ściółce lasu, — rdzawo migotały w brudnych i tłustych kałużach.

A czarne zagony w tej bajce poranku głębokim fioletem majaczyły w głębinach bruzd, — purpurą odbijając słońce na ostrych i kanciastych wierzchołkach skib. Wyglądała ziemia jak królewska szata nieszczęsnego kraju, dumna, fioletowa, ale schlapana krwią gorącą i czerwoną, — rosą wieczystą, która nań spada każdego stulecia.

Świeży wiew poniósł się nad polami i rozgarniać zaczął ostatnie płachcie mgły, co się przytaiły w kotlinach i dołach. W szerokiej rozpadlinie, którą się kończyło wypukłem półkolem od lasu spadające pole ukazała się wioska, biedna i szara, prawie czarna, dzięki starym, drewnianym ścianom budyn-

ków, — błyskająca tylko tu i owdzie białym kominem, dumnie prostującym swą kwadratową postać symbolu kultury i ludzkiej gospodarki w tym zapadłym kącie poleskich puszcz i bagnisk.

W tej wiosce na pozór wymarłej i pozbawionej życia, panował jednak ruch jakiś tajemny i skryty. Od czasu do czasu przemknęła chytrze między chałupami skulona z zimna figura w burym płaszczu i płaskiej czapce i wlokąc za sobą karabin, przypadała chyłkiem do opłotków, między sadowe drzewa u brzegu wsi. Wnet nieznacznie w kierunku lasu wysuwało się z pomiędzy rozgarniętego chrustu cienkie żądło lufy i już tak pozostawało w czujnem i bacznem a niezmordowanem oczekiwaniu.

Tymczasem rozlewna kałuża tuż pod lasem mieniąca się dotąd kolorem brudnej krwi, i strzępem kobaltu ukradzionego niebu, zaróżowiała, i powoli w miarę wznoszącego się wyżej słońca, klarowała się, i szlachetniała, łagodniała w jaskrawych i kontrastowych barwach.

Na brzeg zaścielony zrudziałym mchem opuściła się sroka i przeglądając się w martwej tafli chodziła nad wodą, kokieteryjnie merdając łopatkowym ogonkiem w kierunku krążących nad nią towarzyszy.

Dziobnęła robaka, otarła o mech tępy dziób i zabierała się właśnie do radosnego kraknięcia na cześć nowego dnia, gdy wtem przestraszona zwróciła głowę w kierunku drzew lasu.

I widać trwoga jej miała poważne powody, bo po chwili przysiadła, ciężko rozwinęła skrzydła i wolno uniosła się w górę jakby z żalem rzucając tak miły dla jej zalotnej natury kącik.

Z pomiędzy dwu, pokręconych jak filarki starożytnej komódki sosen, wynurzył się rosły, czarny kadłub, i kołysząc się lekko na wysmukłych nogach, przystanął nad różowem zwierciadłem.

Prześliczny, kary koń, o lśniącej granatem szerści opuścił nizko kształtny łeb, dziwiąc się własnemu odbiciu. Ruchliwe nozdrza, cienkie i gorące wydęły się w kąt ostry i chciwie wciągały wilgotną woń wody. Maleńkie, zgrabne kopyta utonęły prawie zupełnie w miękkim mchu, a nogi powyżej pęcin śnieżno białe aż do kolan, niecierpliwie tupały w pragnieniu biegu. Świetnie odsadzony, ścięty w szpic ogon drżał lekko i jedwabny włos rozpuścił szeroko pozwalając, że wietrzyk liczył go pojedyńczo, tworząc jakby przezroczysty i powiewny welon.

Pod cienką skórą rysowały się wyraźnie dziwaczne, chimeryczne sploty żył, formując hieroglify krwi wrzącej, która tam krążyła jak wieczna podnieta i wieczny ogień.

Młody ułan, siedzący na koniu, wyprostował zgiętą w pochodzie pierś i odetchnął głęboko rzeźwym zapachem roli. Spojrzenie jasnych oczu, zawieszonych jak dwie lampy na złotych łukach płowych brwi,, rozrzucił dokoła, ciekawe, radosne tej krasie budzącego się życia, — a jednocześnie podejrzliwe i śledzące. Oczami się wślizgnął między omszałe dachy wioski, — przedziergał wzrokiem koronkę drzew w sadach, wpił się w szczyt wieżyczki małej cerkiewki, i nie znalazł nic ciekawego.

Więc znów leniwym ruchem opuścił się na siodle, zdjął ciężkie czako i głowę pieszczotliwie zniżył na szyję konia. Dłonią poklepał jedwabistą sierść.

— Bezbiederka, moja kochana Bezbiederuchna!

Koń zwrócił łeb w bok i spojrzał z ukosa na swego pana. Pieszczota miła była bo sapał z zadowolenia, i ośmielony popuszczonemi cuglami sięgnął wargami bujnego mchu.

Zadzwoniły z cicha wędzidła. Koń zastrzygł uszami, — ale pan nie bronił mu niewinnego łakomstwa.

Schylony tak, pół leżąc, oddawał się słodkiemu bezwładowi po nużącej, nieprzespanej na siodle nocy. Podkrążone

nieco oczy przymknął, aż długie rzęsy rzuciły cienie głębokie na wychudłą i zmizerniałą twarz.

Prawy policzek przytulony do końskiego karku łaskotał mile jedwab szerści i grzało ciało zwierzęcia.

Ogarnął go błogostan doskonały, i w półśnie zaczął marzyć.

A wargi bezwiednie szeptały ciągle.

— Moja kochana, malutka Bezbiederuchna! Moje bydle najdroższe!

— — — — — — — — — — —

Janek rzeczywiście kochał swoją klacz.

Dziesięcioletniemu Jasiowi, który ze szkół, ze wstępnej klasy, dumny ze swego uczniowskiego mundurka, przyjechał na wakacje do domu, ojciec, stary zagrodowy szlachcic, ofiarował kudłatego, chudego jak malarska sztaluga źrebaka małego i niezdarnego. Ale Jaśkowi źrebak się podobał. Bawełniaste kudły były czarne, jak smoła i tylko bieliły się patykowate nogi. Oczy wielkie, wypukłe i pełne smutku jakiegoś czy żalu, patrzały tak miękko, że Jasiowi mokro się koło serca robiło. Wstawał o czwartej zrana, nie mył się tylko gnał do stajni, sam czyścił, poił swego rumaka, — i podkopywał się do spichrza, by ukraść w czapkę miarkę owsa dla swej Bezbiederki. Nazwę swą zawdzięczała temu, że kiedyś stłukła sobie biodro, i miała wskutek tego jeden bok niższy od drugiego. Bez biodra, — Janek przerobił to na Bezbiederkę i bardzo mu się skomponowane imię podobało. Koniec końcem, gdy chłopak wyjeżdżał z powrotem do szkół i wisiał płacząc na jej szyi, — źrebiczka utyła, wygładziła się, — i wcale wesoło brykała po stajni.

W końcu ku zdumieniu wszystkich wyrosła na śliczną klacz i była nad podziw inteligentna i przywiązana do swego opiekuna.

W rok potem Janek zachorował na zapalenie płuc,

a Bezbiederka z winy niedbałego parobka na tą samą chorobę, którą konie równie ciężko przechodzą, jak ludzie.

Blizkiemu śmierci chłopakowi przyprowadzano do okna schorowaną pupilkę, — zgorączkowane oczy jego godzinami wpatrywały się w mętne źrenice klaczki. Wychudłe palce pieściły buchające żarem jej nozdrza i to było jego jedyną pociechą w chorobie.

Wyzdrowieli oboje.

Radości Janka, gdy skoczył po raz pierwszy po opuszczeniu łóżka na siodło, nikt nie opisze.

Klacz była tem również zachwycona. Rżąc rozgłośnie obnosiła go po polach jak wiatr.

Mądra była nad wyraz.

Kiedyś, wracając z sąsiedztwa nocą, w kłusie, Janek natrafił szyją na rozciągnięty nizko wpoprzek drogi drut przytrzymujący słupy telegraficzne, i oczywiście spadł bez zmysłów z siodła jak martwy. Zdziwiony koń, nie czując na sobie ciężaru jeźdźca, ubiegł kilka kroków, wrócił, obszedł zdziwiony kilka razy naokoło leżącego pana, powąchał i zaniepokoił się na serjo jego bezruchem.

Zarżał kilka razy boleśnie, trącił delikatnie w ramię raz i drugi, wreszcie widząc, że nic nie pomaga, w pełnym galopie puścił się do domu.

Ojciec wybiegł przerażony, widząc, że klacz wraca sama i siadł na bryczkę, zwołując służbę z pochodniami, i spiesząc co tchu na ratunek.

A Bezbiederka nie dała się złapać i zaprowadzić do stajni. Biegła przed bryczką, co jakiś czas stając i oglądając się.

Stary szlachcic zdumiewał się. Ale gdy zobaczył zdaleka leżącego syna, — i pęd, z jakim klacz rzuciła się ku niemu z rozpaczliwym kwikiem, rozrzewnienie go zdjęło. Bezbiederka dostała osobną klatkę w stajni, wspaniały rynsztunek, pierwszorzędny żłób, — i osobnego parobka.

Janek był marzycielem, i niespokojnym duchem. Ile to razy w ciemną noc wypadał na swej karej z zabudowań w szczere pola, i pędził gdzieś w przestrzeń, bez wytchnienia, jak potępieniec. Dobrze się koniowi dały we znaki te fantastyczne wycieczki. Czasem ze snu zrywał się, ubierał i pędził do stajni. Z klatki błyskało wtedy ku niemu mądre spojrzenie, i wilgotne, gorące nozdrza muskały go po twarzy, rżąc wdzięcznie za taką troskliwość, i takie kochanie.

Zresztą miłość to była wzajemna. Klacz oprócz Janka i parobka, który ją obsługiwał, nie znała nikogo, i zdawałoby się, że djabeł wcielony w nią wstępował, gdy kręcił się koło niej ktoś obcy. Wsiadać mógł na nią tylko Janek, — innego jeźdźca, gdy już wsiadł zrzucała natychmiast, gryzła, kopała i wściekała się.

To też miłość Janka ku niej była stałem udręczeniem domowników. Panowała wieczna obawa o faworyta, że go „wściekła kobyła“ poniesie kiedy i zabije.

Ale Bezbiederka przy Janku stawała się łagodna, jak dziecko. Rzekłbyś: rozmarzona kochanka — z takim sentymentem i ruchem pełnym wdzięku wyciągała szyję i śliczny łepek pchała mu pod pachę.

— — — — — — — — — — —

Był czas, kiedy jabłoniowy sadek we dworze o milę odległym od rodzinnej wioski Janka, — wiosna obsypała pękami białych i bladoróżowych kwiatów, pachnących i cudnych, — że wyglądał, jak jedno kwietne morze, nieskalane, puszyste. Dopiero, jakeś wszedł we środek, zadarłszy głowę do góry, widziałeś zielony strop liści rozpięty na gałęźnym wiązaniu.

Wiła się tamtędy alejka cicha, cienista popod tym wonnym baldachimem, ujęta w szeregi róż i storczyków. U samego jej końca, przy wylocie w pole, stały jakby dwa karły na straży, dwa krzaki jaśminu, — z kamienną ławeczką w ich cieniu.

Ta alejka, ławeczka i jaśmin, stały się ciągłym celem spacerów dziewiętnastoletniego Janka.

W ciepłe południe rozchylały się znienacka krzaki, — i czarny z prościutką białą strzałką łeb Bezbiederki zwieszał się nad ławeczką prychając po odbytym biegu.

Wówczas z ławeczki zrywał się głos przerażenia, i urocza panna Lucia, córka właściciela majątku zrywała się gwałtownie, roniąc czytaną książkę.

Odpowiadał mu wesoły śmiech Janka.

Ale piwne oczęta rzucały gniewne błyski.

— Także koncepty! Przestraszył mię pan tak, że chyba mi serce pęknie!

— Doprawdy? Jednak to nie ze strachu chyba, panno Luciu, co?

— Nie! Napewno z wielkiej miłości do pana. Niech mi pan powie, co pan sobie właściwie wyobraża?

— Wyobrażam sobie nic, — a napewno wiem, — że to... z sympatji do mnie. Zresztą, jak się pani gniewa, to pojadę sobie. Chodź, Bezbiederko, wyganiają nas. A właśnie przywiozłem pani nową i ciekawą książkę...

— Tak-trzeba było odrazu! Nieprawda, nie wyganiam pana, ale wcale nie dlatego co pan powiedział, bo to banialuka, tylko dlatego, że chcę świeżej książki, a tę właśnie kończę. Więc ciekawa?

Pociągnęła go coprędzej na ławeczkę, i pośpiesznie jęła przewracać kartki. Uśmiechnięty chłopiec pieścił się widokiem kasztanowatych warkoczy, co lśniącym wężem spływały na wypukłe młode piersi, ślicznie różowiące się pod koronką jasnej bluzki. Wązka stópka w zgrabnym pantofelku wyglądała z pod sukni i niecierpliwie wierciła obcasem w piasku alei.

I nagle szepnął przysuwając się bliżej:

— Czy na serjo, to com powiedział było banialuką?

Panna Lucia spojrzała mu głęboko w oczy i spuściła na dół powieki.

— Przecież pan wie...

To pewna, że wiedział.

Kochali się całą siłą młodości i tej krwi, co pulsowała w skroniach jak war. Ich kochanie świeże było, ładne i mocne, jak ta wiosna — co naokół dyszała całym rozpędem swej powstającej i prężącej się królewskiej krasy. Słodki zapach jabłoni odurzał. Dłonie zbiegły się raz i drugi, rozbiegły, — złączyły znów i do ponownego rozejścia siły nie miały. Pochylone naprzód głowy ogarnął męt jakiś luby, przed oczami, jak w bajce przebiegać zaczęły myśli, wizje niesformułowane, nie ujęte, — ale wyciskające wielkie wrażenie, — że oto dzieje się coś szczęsnego. Pachnącą alejkę wypełniły nagle marzenia. Wszystkie tajone i skrycie pożądane sny ożyły nagle i przyobleczone w żywe ciało, chichotać jęły pomiędzy różami, — gonić się swawolić, jak cudowne chimery, — lotne i barwne.

Miłość czarowała...

Nagle panna Lucia przerwała ciszę.

— A wie pan — młody Brotwicz pytał się, czyby mu pan nie sprzedał Bezbiederki. Ma wielką ochotę na nią.

Janek żachnął się.

— Ach, co też pani! Ja, sprzedać Bezbiederkę! Nigdy! Zresztą, ona nikomu przystąpić do siebie nie daje, — prócz mnie. Prędkoby się rozczarował.

— Ciekawa jestem, czyby mnie dała wsiąść na siebie. Wie pan co? Spróbujemy!

— Pani napewno nic nie zrobi!

I za chwilę, — podsadzona przez Janka, panna Lucia siedziała już na grzbiecie klaczy. Bezbiederka, szarpnęła się, przysiadła, stuliła gniewnie uszy.

— Pst, cicho, stara! To dobra, kochana pani! Nie bój się! — pieszczotliwie poklepał ją po szyi Janek. — Klacz zastrzygła uszami, jakby zrozumiała i uspokoiła się zupełnie.

— No, wie pan, że i ja zaczynam kochać tego konia, — rzekła panna Lucia zachwycona.

A Janek jej dłoń trzymaną w rękach porwał do ust.

— Jak ją, to i mnie! Jak ją to i mnie... Luciu!

Ogarnął ją ramieniem, a ona schyliła ku niemu rozgorzałą twarzyczkę. Ładny był tak z podniesioną głową, w jedwabnej, czarnej żokiejce, w obcisłym białym kitlu i długich butach z ostrogami.

— To... i ciebie, Jaśku.

I, niby płat szczęścia spadły nań jej wargi wonne i wilgotne. Rozchyliły się szerzej jabłonowe płatki i pachnieć zaczęły mocniej.

Potem chodzili po alei ramię w ramię, przyciśnięci, rozpromienieni, nie zdolni słowa powiedzieć, lecz zdawało im się, że skoro usta otworzą, wybiegnie z nich krzyk wielki, rozgłośny szczęsny krzyk. Więc tylko tonęli w sobie rozkochanem spojrzeniem, a rozszerzone źrenice chłonęły się bez pamięci.

Bezbiederka chodziła za nimi, krok w krok, jak pies, — i tylko czasem wsuwała łeb między ich głowy i owiewała ich policzki gorącym tchem, — jakby mówiąc:

— Strzeżcie się!

Albo zazdrośnie skubała Janka za rękaw.

Wtedy z różowych paluszków panny Luci dostawał się jej w aksamitne nozdrza psztyczek i wyrzut:

— Brzydka zazdrośnico!

Klacz podnosiła dumnie w górę łeb i odwracała się z niechęcią obrażona.

— Ale Janek natychmiast doznaną krzywdę wynagradzał jej pieszczotą i znów wszystko było dobrze.

Na drugi dzień, ojciec panny Luci, przechadzając się z córką po ogrodzie, spostrzegał w różanej alei świeże ślady kopyt.

— Cóż to, zaklęty królewicz jaki, do asińdźki jeździ?—

pytał z pozornym marsem, — bo wiedział doskonale, że młodzi mają się ku sobie.

A panna Lucia piekła olbrzymiego raka, — tak olbrzymiego, że wyglądał jak nie rak, — ale cały wielgachny krab morski.

— — — — — — — — — — —

Janek westchnął ciężko. Bo zdało mu się przez moment, że poranny wietrzyk przyniósł woń kwitnących jabłoni, — i rudy mech pod kopytami konia splótł się nagle w kasztanowaty warkocz...

— — — — — — — — — — —

Albo wtedy, — w rok potem ta głupia awantura z Mieciem Brochwiczem. Poszło o bagatelkę, — od słowa do słowa przyszło do sprzeczki, — od sprzeczki do kłótni, — i wypsnęło się słowo takie, co to wróblem wyleci a powróci wołem. Spotkanie musiało się odbyć.

Na miejsce pojedynku Janek jechał konno. Bezbiederka tego dnia niechciała odejść od stajni, — aż zniecierpliwiony chłopiec użył pejcza.

Uwiązana do drzewka, omal nie urwała cugli, dębiła się i gwałtem biedz chciała za odchodzącym Jankiem.

Był ranny wtedy.

Klacz szła za bryczką, na której odwożono go do domu smutna z pochylonym łbem, jakby rozumiała co się stało z jej panem.

Przez cały czas choroby Janka, gdy nie przychodził do stajni, — nie chciała jeść, — rżała tylko zcicha, — łagodna była i zaniechała zwykłych kaprysów.

Gdy powziął decyzję wstąpienia do Legjonów, w przeddzień zaszedł do stajni do Bezbiederki „po radę".

— No i cóż, Bezbiederuchna, pójdziemy na wojnę. Nie boisz się? Mogą nas zabić. Wojna to nie spacer do panny Luci. Nie boisz się?

Mądry łeb oparł mu się na ramieniu, a oczy mrugały jakby akceptując wszystkie jego projekty.

— Panna Lucia będzie nas żałowała, prawda? Biedna panna Lucia...

Naraz przyszła mu myśl do głowy. Wyjął notę, wydarł kartkę i jął coś pisać prędko oparłszy się o żłób.

Potem kartkę zawinął w chustkę, przypiął popręgiem do grzbietu konia, i wyprowadził go na drogę.

— Bezbiederuś, wiesz? Zanieś to do panny Luci. Do panny Luci.

Pokazywał jej znajomą drogę.

Klacz pojęła.

Zwolniona, puściła się drobnym truchcikiem, szlakiem, którym chadzała tak często.

A panna Lucia siedziała na ławeczce i płakała rzewnie. Nagle poczciwy łeb koński wychylił się zza krzaka i trącił ją w ramię.

Krzyknęła radośnie, pewna, że to Janek przyjechał. Ale Janka nie było, tylko na grzbiecie bieliło się coś i klacz porozumiewawczo kiwała głową.

Panna Lucia odpięła chustkę i rozwinęła zwitek.

Zaczerniło się kilka wierszy.

„gdy, goniąc sławę, śmierć dopędzę
może na tęsknoty czarnej wstędze
snuć będziesz nikłą wspomień przędzę...

o moich cnót rycerskich błędzie
wspomnisz w zadumie, i żal Ci będzie
i pójdzie myśl Twa za mną wszędzie...

a ja, duch, z niebieskich zszedłszy stoczy
mgłą zalśnię u okien Twych przezroczy
i patrzeć będę w Twoje smutne oczy...

Panna Lucia główkę oparła na czarnej szyi konia i płakała długo...

Potem odpięła od stanika purpurową wstążkę, przywiązała do popręgu, pocałowała Bezbiederkę mocno w nozdrza i puściła.

Klacz odbiegła galopem, furkocząc wstążką na wietrze niby zwycięskim proporczykiem.

I czerwona wstążka zawieszona na ułańskim rabacie Jankowego munduru, walczyła z nim o lepsze w żywości barw.

— — — — — — — — — — —

Bili się razem, on i Bezbiederka. Na postojach, gdy nie było kwater, klacz się kładła, on obok niej, — z głową na jej boku i zasypiał. Nie poruszyła się.

A ile razy dzięki jej rączości uniknął niebezpieczeństwa. Klacz wyciągała się wtedy w strunę. Rozwiany ogon był jak pienisty ślad, który pozostawia za sobą mknąca po fali łódź. Skry sypały się z oczu, piersi rozbijały powietrze, — a kopyta dzwoniły głucho po ziemi, jak pęknięte dzwony.

Gdy strach pozostał już daleko w tyle, — klacz zatrzymywała się prychając radośnie i przebierając nogami z wielką uciechą, że uratowała pana. A on, wdzięczny, głaskał ją: pieścił i całował i tulił.

Prawdziwą przyjaciółką mu była.

To też na biwakach, miast spać lub wypoczywać jak inni — szczypał po polach całemi godzinami owies dla niej do czapki, przynosił, przewiewał na wietrze, chuchał, dmuchał, byle dać jej najlepsze ziarno, najlepszą strawę. Sam bywał często głodny; nie mógł przenieść tego, by jego koń nie jadł. Inne konie szwadronu chudły i mizerniały, — ona wyglądała zawsze jak klusek.

Była przedmiotem ogólnych zachwytów i powszechnej zazdrości, i faworytką szwadronu mimo swej nieprzystępności i pozornej złości.

Włóczyli się tak po świecie, a Lucina wstążka z niemi.

Spłowiała na słońcu, barwę spłukały nieco deszcze, ale zawsze dumnie figurowała na rabacie i furkotała zawadjacko w szarży.

— — — — — — — — — — —

W lesie zlekka trzaskały gałęzie, pod kopytami koni nadjeżdżających towarzyszów.

— No kapralu, jedziemy dalej. To tę wieś zdaje się mamy spatrolować? Hajda na nią i wracamy do swoich, bo już z koni pospadamy wreszcie.

Janek uniósł ciężką głowę z szyi końskiej. Trudno mu było rozstać się ze swemi wspomnieniami. Ale służba przedewszystkiem.

Co też Lucia teraz robi? Czy wojna dotarła do tego zapadłego kąta?

A może siedzi w różanej alei — i czyta jak dawniej książkę? Tęskne oczy co chwila oderwą się od martwych liter, i zawisną gdzieś w błękicie, goniąc minione chwile i marząc o nowych jeszcze lepszych.

Ale skąd — teraz jesień.

Jesień życie zabrała wonnym płatkom, i gałęzie odarła z zieleni. Z kwitnących róż pozostały czarne badyle, — krzaki jaśminu nadwiędły i zwinęły smutnie listeczki zwarzone pierwszym przymrozkiem...

— Ano, jedźmy — burknął niechętnie.

Skomenderował: ławą.

Ułani rozciągnęli się długim sznurem i wzięli broń do ręki. Dojeżdżali ostrożnie, czujnie.

Wieś leżała przed nimi, tajemnicza, martwa. Tylko krążące nad nią wrony i kawki krakały zajadle, co chwila zapadając w krze, by znów się poderwać z głośniejszym krzykiem.

W wyciągniętym szeregu panowała cisza. Każden, z palcem na cynglu świdrował oczyma czarne ściany, z nie-

pokojem i najgorętszym pragnieniem rozjaśnienia ich tajemnicy.

Zadanie było ważne.

Brygada miała tu wyznaczone kwatery i za godzinę miała nadejść. Zmęczonej pochodem piechocie należał się wypoczynek.

Bezbiederka postępowała wolno, strzygąc uszami, — w pełni zrozumienia ważnej chwili. Tylko nogi dreptały drobniuchno, prężąc się i gotując do gwałtownego skoku naprzód, po pierwszym strzale. Niecierpliwie żuła wędzidło, i potrząsała trenzlą.

A Janek siedział wyprostowany, spokojny, trzymając w dłoni gotowy do strzału rewolwer.

Zbliżali się krok za krokiem.

Po linji ten i ów westchnął głęboko. Byli już blizko, — za blizko na to, żeby wróg ich dopuścił bezkarnie. Widocznie nie było tam nikogo!

I nagle między opłotkami wykwitła krótka iskierka niby mały piorunek i ciszę poranną rozdarł suchy trzask.

Janek machnął ręką — i puścił cugle.

Pomknęli cwałem.

Opłotki buchnęły całą salwą piorunów.

Przeciągły gwizd smagał powietrze, przeplatany trzaskiem pękających ekrazytówek. A przeciwko wrogim lufom pędzili ułani, już weseli, bo zagadka została rozwiązana. Niepewność ustąpiła.

Janek jechał na przodzie, stanąwszy w strzemionach, — i ściskał kolbę rewolweru, czekając chwili, gdy go będzie mógł użyć. Na każdy bliższy bzyk kuli uśmiechał się tylko drwiąco i dumnie.

— Co mi tam zrobią!

I naraz, krótki, bezpośredni, urwany gwizd. Urwany, jak brzęk zdumienia, — jak zaskoczona nagle pieśń wracającego żniwiarza, rażonego piorunem. Prędki i złowieszczy.

— Czyżby ja?

— Wtem poczuł się nagle, jak długi, rozciągnięty na ziemi. Obejrzał się ze zdziwieniem.

— Bezbiederka!

— Klacz leżała z wyciągniętą szyją, nozdrza wtuliwszy między skiby. Sączyły się z nich dwa pasma krwi, dymiącej, czerwonej i gęstej. Spływały po ziemi i ginęły w jakimś pęknięciu gleby, połączone w jedno, burząc się i bulgocąc gniewnie.

Pysk wzniósł się do góry i rozwarty szeroko, pokazując z pod podniesionych warg zęby białe i wyszczerzone z bólu, chwytał gwałtownie powietrze w przestrzelone płuca. Wchodziło ze świstem i rzężeniem.

Dziko wytrzeszczone oczy, przewracały się w orbitach, mętne i już przymglone czadem nadchodzącej śmierci.

Dzikie i zarazem niewolące piętnem ogromnego smutku, słały skargę jakąś rzewną i niemą, — chwytały żalem, — że oto pozbawia je życia coś, co jest im tak obce, — i tak dalekie.

Janek warjackim prawie wzrokiem patrzył na swoją klacz.

— Bezbiederka!

Padł przy niej na kolana i objął za szyję.

Kadłub wstrząsały przedśmiertne drgawki. Boki wznosiły się wysoko i opadały szybko rysując pod skórą szkielet żeber. Szerść zmatowiała i skosmaciła się. Miejscami występowały ciemne plamy potu konia umordowanego tą straszną walką ze śmiercią. Ogon wił się, wznosił w górę, uderzał po bokach, supłał jak nadeptany wąż. Kopyta bezsilnie, maszynowemi ruchami, grzebały ziemię.

Janek obydwoma rękami ujął głowę konia i wodził niemi po oczach, po śnieżnej strzałce, po nozdrzach. Palce zbabrały mu się krwią i czuł ją między niemi, gorącą, lepką.

— Bezbiederka, moja jedyna Bezbiederka. Bezbiederka!

Klacz usłyszała rozpaczliwe wołanie swego pana.

Ostatnim wysiłkiem, poderwała się, stanęła na sztywniejących już nogach, — i łeb wzniosła do góry, wystawiając broczący pysk pod wiatr.

Martwy zad już nie miał siły się unieść.

Chciała zarżeć rozgłośnie, żegnając po raz ostatni Janka. Ale z poszarpanych kulą piersi wydobył się tylko charkot okropny, potworny, niby wrzask duszonego, chrypliwy, rozdarty.

I padła ciężko wyciągając przed siebie zdrętwiałe nogi. Łeb był zwrócony w stronę Janka i w szklanych oczach zastygł wyraz ogromnego cierpienia i smutku.

Janek klęczał teraz bez ruchu, jak osłupiały.

Niema już jego Bezbiederki. Niema. Przyszła kula i po niej. Jedna marna kula. A Bezbiederka taka duża.

Za co ją zabili? Co im zrobiła?

Czy strzelała jak on, nienawidziła ich jak on?

Nie, — służyła mu tylko.

Obejrzał się dookoła.

Słońce wzeszło ponad czarne chałupy, — i wyglądało jak potworna, wielka miedziana kula, zawieszona w szarej i posępnej mazi mgły co się gdzieś, gdzieś tam uległa na skraju widnokręgu.

Bruzdy już nabrały właściwego im brunatnego koloru. Coś zatrzepotało nad głową. Spojrzał w górę. Kołowały nad nim dwa kruki łopocąc szerokiemi lotami i czarnemi oczkami wpatrując się z niedowierzaniem w nieruchomą postać ułana.

Czy i to już trup?

Gwizd kul trwa ciągle.

I znów oczami wrócił do martwego kadłuba klaczy. Nie poznawał jej. Taka dumna, pyszna, wyglądała jak stary worek, porzucony na polu. Tylko brzuch wzdął się bardzo, jak

wielka bania, rażąc swoimi rozmiarami przy cienkich i muskularnych nogach.

I nagle podniósł się, złożone pięści przycisnął do piersi, wyprostował korpus i z podniesioną głową począł iść ku wsi, mamrocząc przez zaciśnięte zęby:

— Zabijcie... zabijcie, psiekrwie, i mnie.

Zrywający się wiatr odczepił mu z rabatu jeden koniec Lucinej wstążki i targał nim z wściekłością.

III.

LIST POŻEGNALNY.

W rozbitym pałacu hr. Potockich pod Wysokim Litewskiem.

Trzy słodkie czary moje. Trzy myty... Trzy tęcze. — Złote moje, drogie dziewczyny.

Was chcę pożegnać dzisiaj.

Odchodzę od Was, zapomniany, zawieruszony gdzieś w miljonowych tłumach zbrojnych ludzi — pionek, zero.

Ale odchodzę strojny ułańską czerwienią, — zbrojny srebrną ostrogą i silny duchem żołnierza.

Zstępuję ze strzemion, które niegdyś niosły się nad Europą z przemożnego nakazu napoleońskich orłów.

Zstępuję zapatrzony tęskną źrenicą w znamię, które przywiodło nas aż tutaj — do tego wspaniałego gmachu.

Zstępuję bez wstydu, bom pokonany przez dziwną i mocną potworę: przez Wojnę.

Chcecie wiedzieć, jak spędzam przedostatni dzień swego życia?

Już wieczór.

Szarym tumanem rozpełzł się tam za oknami zmierzch i poprzez wysokie kryształowe szyby wkrada się do sali, niwelując i ciemnym welonem przesłaniając i łagodząc ostre szkielety połamanych mebli i przykry obraz dewastacji — ja-

ki się oczom przedstawia w paradnej sali opuszczonego pałacu.

Seledynowe cienie igrają na załamach starożytnego klawikordu i biją się o lepsze z jaskrawo-żółtym płomieniem świec.

Dziwno i obco w tej martwej sali. Zdaje się, jakby w tych kątach, zawalonych rupieciami, czaiło się zło jakieś tajemne, zda się, że cienie czyjeś błądzą po świetnej posadzce,— i oko ze strachem ucieka od rzędu poczerniałych portretów, — bo w pomroce majaczą ciemnemi plamami, jakby na płótnach pozostało tło tylko. Ciżba senatorów, wojewodów i biskupów wyszła z ram — i kalwakadą obchodzi pałac.

Zmierzch oplata duszę niewidzialnemi wstęgami marzeń i halucynacji.

Przychodzi jedna z tych nieokreślonych sił niemocy,— i biernego poddania się majakom.

Przy klawikordzie siedzi skurczona w jakimś nagłym smutku postać ułana i czaruje z czarnego pudła bajeczne tony...

Mazurek Szopena.

Echo dawnych dni.

Tak jakby zabłąkana gdzieś aż z pod Samosierry w nasze czasy sylweta przysiadła nad trumną przeszłości i wydostawała ztamtąd kukły barwne i strojne.

Wyraźnie od instrumentu ciągną pary za parami, rytmicznym ruchem, coraz nowe i nowe. Brzęknie ostroga, błyśnie dyskretnie amarantowy lampas, zalśni żółty rabat, — i zginie poza wielką słomianą pasterką uroczej danserki. Zawisną w powietrzu jedwabne wstęgi, a poniżej rozchwieje się splot jasnych włosów...

Mazurek Szopena...

I naraz mgli się obraz i niknie.

Chłód dziwny ciągnie przez salę — światło świec migoce słabiej, trupim blaskiem, jakby je kto kirem owinął. Zamajaczą na sekundę puste oczodoły — i gołe szczęki bezwstydnym uśmiechem wykrzywione.

Czarodziejskie tony milkną — i natychmiast na ich miejsce wdziera się głuchy potrzask oddalonych strzałów i szczęk broni maszerującej pod oknami kolumny.

Cicho.

To śmierć postępuje tam teraz razem z temi pochylonemi ludźmi, — i gra swoją pobudkę wojenną. Wszak idzie do czynu.

Nie wolno jej przeszkadzać. To najwyższy majestat, możniejszy nad możnych tego świata, — to straszliwa królowa żołnierza, jego wierna towarzyszka. Duch tajemniczy na miljon istnień rozbity, co kryje się w każdej lufie, w każdej pochwie szabli, w każdym wylocie armaty.

Nie wolno jej przeszkadzać. Tu jej królestwo i władza. A gdy się zmęczy swą ciężką pracą tam w polu, przychodzi tutaj, by odpocząć między staremi sprzętami i portretami, pomnikami swej potęgi i mocy.

Widzę ją, jak dotykając rudą piersią klawikordu, wsparła kościsty podbrudek o błyszczący blat i patrzy martwą źrenicą w pobladłą twarz ułana.

Błędne oczy jego wpiły się w sfinksowe oblicze i cienkie wargi szepcą coś.

Pytają zapewne czy czas już.

A może przychodzi po mnie?

Tak, napewno. Czuję już spokój w sobie, — jaki z sobą przynosi.

Pozwalam opaść zmęczonym powiekom i trwam tak bez ruchu, bawiąc się barwną plątaniną różnokolorowych kół.

Wspomnień słodki dur opada, — i oman jest tak silny jak rzeczywistość.

Więc czuję na wargach słodki aksamit Twych dłoni białych i niewinnych. Pamiętasz te ciche wieczory, kiedy kiścią Twych rąk wodziłem po rozpalonej twarzy?

Albo pamiętasz może zaklęcia moje, trwożne i nieśmiałe?

A może pamiętasz moje oczy cierpieniem obłędne, co lękliwie zawisły na wargach Twoich, z których paść miał wyrok...

Nie pamiętasz...

Nie mam żalu o to. Nie byłem szczęśliwy. Ale kochałem i dlatego byłem wielki.

Budziłaś we mnie cudowną wiosnę uczucia, otwierałaś kraje nieziemskiej piękności i górnych ideałów, uczyłaś poznawać ból, dałaś pierwszy zawód, — otworzyłaś przedemną życie.

Ducha mego pchnąłaś łabędzim lotem w nieznane szlaki, — skąd, prawda, zstępował na dół po cierniowej drodze.

To byłaś Ty — pierwsza.

A Ty? Pamiętasz mnie chyba. Pamiętasz wściekłe noce, kiedy spalaliśmy się upałem naszych ciał, co jedno u drugiego szukały ochłody a znajdowały żar. Dotychczas widzę cudowną konchę Twych marmurowych bioder, — i smukłą strzelistość nóg. Czuję w palcach płonącą lawinę włosów.

Było nas troje: Ty, ja i szał. A które najpiękniejsze, najpotężniejsze, najbardziej boskie?

Bezwątpienia — Ty.

Trzecia.

Wiem, że Ty myślisz o mnie dotąd, serdeczna dziewczyno. Niemam na sobie grzechu nienawiści Twojej. Bo cóż mogłem Ci dać? Wystygłe serce mogło już teraz służyć tylko za klamrę do pochodni zapalanej przelotnej bogdance.

Siebie bez serca?

Dar zbyt nizki, — i zamało, o wiele zamało wart Ciebie.

Ale dziś mam coś, co ofiaruję Tobie.

Dam Ci mój ułański kaszkiet i szablę.

Rozumiesz?

To znaczy, — dam Ci to, co jest najlepszego we mnie.

I jeśli gdzie padnę w taki zmierzch, — na rżysku, — chcę, by umierającym oczom moim świeciły Wasze trzy twarzyczki — spopielałemi wargami wyszepcę wasze trzy imiona, jak się szepce: Jezus, Marja, Józef.

To, co mówię, nie jest bluźnierstwem chyba?

Pamiętacie — lubiłem powtarzać:

Omnia vincit Amor.

Z tem hasłem pójdę do najbliższej bitwy.

IV.

BRZOZA.

Wieś wymarła zupełnie. Wioskowa droga, wijąca się wśród zabudowań i odcinająca szarą taśmą od rozległej szachownicy pól, pusta była. Płaczące brzozy chyliły się nad nią i szemrały listowiem — biadając szczerze nad ciężką niedolą ziemi w której wyrosły i z której żywne soki brały.

Na prawo, z poza małego sosnowego lasku ciężkim, leniwym ruchem wydźwigały się brzuchate chmury i parskając i warcząc, słały poprzód, niby groźną zapowiedź czegoś strasznego, sapy jakiejś zduszone i wilgotne podmuchy co wiry brutalnego miału wznosiły na drodze i ciskały nim w strwożone liście brzóz.

Zaś naprzeciw tych czarnych i groźnych potworów z przeciwnej strony wioski biegli po powietrzu inni jacyś mali i nieustraszeni harcownicy, — wprost w ciemne cielska godząc.

A gdzie który ugodził, — tam wnet wykwitała biała, maleńka chmurka, — by w tym momencie rozbłysnąć i miejsca ustąpić, drugiej, dziesiątej.

Huk szedł przeciągły.

Bo z burzą, z lasku szli na wieś ludzie jacyś, jakich biedne brzozy nigdy jeszcze nie widziały.

Nie w sukmanach... na piersiach lśniły się czerwone pla-

my, na głowach rogate czapy chwiały sznurami w prawo i lewo. W dłoni żelazne drągi, z których od czasu do czasu mierzyli do niewidzialnego wroga, a wtedy coś ogromnie syczało i huczało między gałęziami.

Strwożone, biedne listeczki tuliły się do pnia, widząc jak ich rodzeństwo siekane bez miłosierdzia kulami, — jak deszcz leciało na drogę.

Zdumiała się i zaszumiała igłami zaplątaną między drzewa sosna.

— „Co to? Już jesień? Brzozy liście tracą..."

Młodziutka brzózka, rosnąca tuż przy krzyżu przerażona była niemniej niż inne i gałęzie swe chyliła do stóp świętego znaku, prosząc jakby obrony i schronienia.

Jej biała i świeżutka kora pobielała zda się jeszcze bardziej z wrażenia i strzelisty, jak promień pień chylił się i chybotał.

Tymczasem powietrznych harcerzy przybywało coraz więcej, warczących i prychających od tajonej złości. A snać widok ludzi o krwawych piersiach złość tę w nich doprowadzał do zenitu, — bo — dopadłszy ich pękali z coraz większym hukiem i trzaskiem. W końcu zdawało się, że to powietrze samo huczy i bałwani się, — że niewidzialne moce jakieś na boje straszne poszły i tępią się i niszczą wzajemnie.

Brzoza spojrzała na ziemię i struchlała.

Ludzie o wysokich czapach byli już u jej stóp.

Z pomiędzy chałup wyroił się tłum dziki, poszyty w bure barwy i szedł ku nim pędem. Błysnął las stalowych żądeł i z tysiąca gardzieli buchnęło:

— „Ura!"

...aż brzózka wstrząsnęła się od szczytu do korzeni. A w garstce ułanów odebrzmiało:

— Naprzód!

I gruchnęli w siebie, jak dwa meteory, z łomotem i jękiem. Kłąb ciał splątanych w śmiertelnej igraszce pokrył

wzgórek pod krzyżem i — zapamiętały nienawiścią i walką przewalał się i kotłował, jak rojowisko ohydnych czerwi na końskiej padlinie. Rozszalał się tam, w tej ludzkiej masie Ból.

Wydarła się czasem ku górze zawinięta do uderzenia pięść, — czasem dłoń z rozwartemi palcami rozpacznie wyciągnęła się ku niebu, — czasem ku koronie brzozy zaświeciły matowo, dziko wytrzeszczone białka i martwa głowa, mieszając charkot agonji z cichym poszmerem liści — głucho tłukła o pień.

Nierzadko ostre, źle wymierzone żądło orało po korze brzozy, aż ociekła krwią własną słodką i lepką. Ale ona nie czuła ran.

Dlaczego — nie zdawała sobie sprawy, — ale duszą brała udział w walce i za każdym razem, gdy rogata czapa zachwiała się i zapadła w ciemną toń, dziwny dreszcz przestrachu, oburzenia i litości przebiegał po jej rdzeniu.

Pomału w dole zaczęło rzednąć, cichnąć, — i wreszcie bura fala odpłynęła zupełnie.

Zostały tylko na ziemi porozciągane cienie i rdzawe plamy, — i pasma ciężkiego niebieskiego dymu włóczyły się nizko między brzozami i dziergały dziwne desenie.

Powietrzni harcerze umilkli i zrzadka jakiś zapomniany, przybywający po niewczasie, — huknął krótko i umilkł.

Cisza zaległa pobojowisko.

Tylko czarne chmurzyska nadciągały coraz bliżej.

— — — — — — — — — — —

W pewnej chwili brzoza poczuła na sobie dłonie czyjeś drżące i nieśmiałe.

Młody ułan w poszarpanym i ziemią zwalanym mundurze usiłował powstać, opierając się o drzewo. Ale zaraz z jękiem osunął się, — bezsilny.

Twarz pokryły mu wąziutkie niteczki krwi, ujmując owal w siatkę ruchliwą i tętniącą.

Nie ruszał się już — tylko głowę o złotych kędziorach przytulił do pnia. Smutne niebieskie źrenice zawisły gdzieś w smudze jasnego nieba, nad którą chmury zwiesiły czarny baldachim, — a spieczone usta szeptały coś, co mogło być modlitwą, — kochanem imieniem, albo może skargą, — lub przekleństwem.

Obok, na skopanej trawie przydrożnej leżało porzucone czako, a na niem błyszczał dumny ptak, wsparty o tarczę z cyfrą.

Brzózka zatrzęsła listeczkami w nagłem wzruszeniu.

Ten ptak tłomaczył jej wszystko.

Pamięta wszak doskonale, co opowiadała stara brzoza, rosnąca z drugiej strony krzyża.

Staruszka żyła długo i dużo widziała.

Mówiła — że kiedyś, dawno, — za jej młodych lat, — nocą — przybyła garść ludzi, którzy takie same ptaki na czapach mieli, — i rozłożyli się pod krzyżem.

A byli to ułani polscy.

Po świecie wówczas takie same huki szły i gromy i ziemia trzęsła się jak długa i szeroka.

Rozłożyli się tedy i rozniecili ognisko.

Wesoło baraszkując czyścili broń, poili konie w pobliskiej studni, — gawędząc o wielkim genjuszu, co miał Polskę wskrzesić.

Jeden z nich wyjął z zanadrza kawał jedwabiu, na którym haftowany był ów ptak ze szponami i koroną na głowie,— i zawiesił na najniższej gałęzi starej brzozy.

Ognisko wygasło, ludzie posnęli.

Brzoza dumą przejęta i zaszczytem, jaki ją spotkał, szemrała poważnie liśćmi, — piastując ptaka, który, wiatrem nocy poruszany machał w ciemnościach białemi skrzydłami jak żywy.

Wtem z wrzaskiem wypadli zewsząd najeźdźcy i śpiących wybili co do nogi. Jakże płakała biedna brzoza!

Ale najgorsze dla niej było potem.

Ci obrzydliwi, dzicy ludzie, za karę widać, że ramię brzozy podtrzymywało święte godło tamtych, podpalili gałąź.

Wierna brzoza nie wypuściła z rąk znaku.

Aż spaliło się i ramię i ptak.

Z haftowanego orła pozostał popiół, — z bujnej gałęzi opalony kikut.

— — — — — — — — — — —

Tak opowiadała stara brzoza.

A młoda słuchała i bardzo jej się to wszystko podobało. Już co najwięcej to ten ptak w koronie. Biały ptak w koronie...

Śniła o nim nocą, roiła we dnie i o nieznanem sobie dziwie układała piosnki śliczne i w czerwcowe południa nucić je cicho kazała listeczkom.

Ocknęła się z zadumy i wzrok przeniosła na młodego chłopca.

Rycerz białego ptaka...

Ogarnęła ją nagle litość bezmierna i chęć poświęcenia,— by mu ulżyć — bez granic.

Chciałaby go wziąć w siebie, opleść warkoczami i rozpaloną głowę ukołysać słodkiemi słowy pociechy i miłosierdzia.

Tysiącem gibkich ramion wyciągnęła się ku niemu, chcąc wznieść omdlałe ciało i przycisnąć do swego żywotnego pnia.

Zdawało się jej, — że uniosłaby go śmierci—że ukryłaby żołnierzyka przed jej bystrą źrenicą — w swej gęstwie.

Nadarmo.

Więc podsunęła mu tylko pod wargi jedną z ran i poiła go chłodnym sokiem, ciesząc się, że pił chciwie.

Osłabła, mdlała z rozkoszy, pojąc go własnem życiem, wlewając własną krew w jego żyły.

Aż niebieskie oczy, powleczone już siną mgłą, spojrzały jaśniej.

— — — — — — — — — — —

Tymczasem burza nadleciała w całej grozie i potędze, otoczona świtą Wichrów i Gromów.

Stado czarnorudych poczwar zwaliło się na drogę, targając drzewami i starym krzyżem, że chwiał się cały. Wiatr porywał całe kupy zeschłych liści i z piekielnym chichotem miotał nimi w twarz konającego, urągając jego niemocy i martwocie.

Burza ognistemi pazurami darła ziemię, prując czasem oponę ciemności płowemi błyskami i oślepiające iskry ciskała w zmęczone źrenice chłopca.

Biedna brzoza wierzyła, że to już śmierć poń przyszła i rozpaczliwie szumiąc szamotała się gwałtownie, chcąc za jakąbądź cenę nieść mu ratunek.

Odchodziła od zmysłów, nie mogąc wyrwać się wiążącym mocarnym okowom ziemi.

Więc siekła tylko bezsilnemi gałęziami powietrze i skrzypiała żałośnie.

— — — — — — — — — — —

Wraz z nadbiegłym orkanem wracała bitwa, jak wraca przypływ morski.

Pociski obrzucały pagórek ołowianym deszczem, sycząc jak kłębowisko podrażnionych żmij.

I stało się, — że któryś zaślepiony obłędnym lotem, zboczył z drogi, uderzył o pień brzózki i pękł.

Ze zjednoczonym okrzykiem bólu i radości pochyliła się brzoza i padła na pierś ułana, zasłaniając go gęstą zielenią przed wichrami i burzą.

Omotała bezwładne ciało warkoczami, ukołysała w miękkim uścisku, okryła liśćmi, — szemrząc zcicha i tkli-

wie — szczęśliwa, że śmiercią swoją da mu chwilę wytchnienia.

Ale ułan już nie żył.

I rozpętało się wtedy w górze piekło tak straszliwe, — że w dole wylękli ludzie przerwali walkę.

Wykwitały słupy ognia i w następnym momencie rzeką rozlewały się po równinie, — to znów ostremi sztychami wbijały się w ziemię nakształt płomiennych oszczepów.

W chmurnej pomroce migotały chwiejne światła i często jak kamień, — spadał ciężko martwy ptak z połamanemi skrzydłami.

Wicher porwał się, zawył, pognał w pole, chwycił tuman piasku, uniósł przed sobą i złożył na pagórku.

I już ciągle zganiał tumany na wzgórze.

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz, skoro świt wychylił zza widnokręgu rumianą twarz i słonecznem okiem rozejrzał się po świecie, zastał wszystko jak było.

Tylko na miejscu, gdzie rosła brzózka, — stał wysoki kurhan.

Na jego szczycie tkwiło zasypane do połowy ułańskie czako i sterczała z pod piasku zwiędła gałązka brzeziny.

Poranny wietrzyk uderzał nią o tarczę, na której wsparty stał dumnie królewski ptak.

V.

BIWAK ZA BUGIEM.

— Gwiezdna, cicha, spokojna noc przesłania wszystkie grozy i jaskrawą wydatność dziejów dnia. Na ludzkie sprawy nasuwa się czarna opona, — jakby jakieś ostrzeżenie i próba opamiętania ludzi.

— Zapomnijcie!

— Zawlokła jasna noc wszystko jednostajnym, głębokim szafirowym cieniem. Pola, wzgórza, a wyżej leśna przepaść wyglądają jak olbrzymie wycinanki, — przylepione na tło nieba. Z pomiędzy rozczochranych gałęzi przydrożnych wierzb w dole błyśnie pod księżyc ściana chałupy, sina ,jak twarz topielicy, — o powleczonych maską śmierci oczach. Za chałupami, chytrym wężowym skrętem wywija się rzeka i nakształt potwornego gada, zaiskrzy się czasem srebrną łuską fala. Zły pluskot i klepotanie dobiega z doliny.

Za rzeką kraj ciemny, ponury i pusty. Ztamtąd idziemy. Idziemy ciągle śladami łun i pożarów, jakby zahypnotyzowane źrenice utkwiwszy w te krwawe pasma w nocy, — w strzeliste słupy dymów we dnie, — bez odpoczynku, bez tchu, ciągnieni nieprzepartą koniecznością walki. Ognie ,doścignięte, brygada rzuca się w płomień, czas jakiś kurczy się, zmaga w uderzeniu— wreszcie odchodzi by znów czujnie podchodzić a śledzić, i wypatrywać odpowiedniego momentu. I znów bój w płomie-

niach — o płomienie. I powoli, powoli, lecz ciągle ogień ustępuje, cofa się, — ale nie gaśnie nigdy.

Zwiesiła noc nad lasem ciemną płachtę nieba, z litości podziurawiwszy ją nieco, by dać trochę światła odrętwiałym ludziom. Stoki góry oblał seledynem księżyc, — i wyglądają jak gładkie malachitowe kopce.

Na samym wierzchołku, w lesie, migają czerwone płomyki i mleczne smugi opasują czuby. Co wszystko wygląda jak potworna głowa w żelaznej ciężkiej koronie, wysadzanej rubinami i wykładanej perłową macicą.

Tam biwakuje kawalerja.

Wykwitło ognisko setką języków — głodnych, łapczywych. Sute gałęzie puszystych sosen, zwisłe i urodne, zrudziały w jego blasku. Dziwne światełka żwawo wyskakują między drzewami, chowają się, niknąc i zjawiając kolejno to między korzeniami rozłożystego dębu, to w krzaku jałowca, to na kępce paproci — zaglądając ciekawie pod liście czarodziejskiej rośliny. Wnętrze pałacu gnomów, — albo siedlisko elfów i dziwożon.

Wokrąg ognia rozsiedli się ułani i otoczywszy płomień obręczą drugiego płomienia, — rabatów — kiwają znużonemi kwadratowemi łbami, aż zapinki mocno pod szyją ściągnięte piszczą i trzaskają. W rzeźki potrzask palonych gałęzi wkrada się jednostajny odgłos żutego przez ukryte w głębi lasku konie, owsa. Czasem tylko z pomiędzy dwu pni wychyli się mądry łeb, nadstawi uszy, czujne i strwożone spojrzenie rzuci gdzieś ponad ogień, w las, — odbijając w łzawem białku malutką iskierkę. Potem rozszerzone nozdrza zadrgają w cichem parsknięciu i łeb zniknie.

A przy ogniu cały świat, całe małe społeczeństwo plutonowe.

Są nawet dzieci...

Jest sędzia, poważny, nizki, niszczący właśnie z zapałem kopiatą miskę smakowitego pęczaku. Za każdym ruchem ręki

setki małych, białych kulek znikają w zagadkowej gardzieli sędziego, która przeraża swoją nieprzeniknioną tajemnicą wyroku. I jego nieodstępny towarzysz, wysoki, zjeżony blondynek o cerze jutrzenki, zapatrzony tkliwie w niknącą kaszę, podziwia zdaje się apetyt przyjaciela, ale mu nie zazdrości, bo ma taki sam akurat.

Obok nich, góral rodowity, z krwi i kości, syn turni i hal, skwitowawszy na korzyść sprawy ze sfer podniebnych, — oparł biały policzek o ramię najprozaiczniejszego w świecie geometry, łazęgi z nizin co syzyfowym trudem wtyka lata całe kołki w niewdzięczną ziemię, i mierzy niewymierne bruzdy. Sprawa brzęczącą taśmę wymieniła na niemniej brzęczące ostrogi — pochyloną ku dołowi, wypatrującą znaków i punktów głowę przechyliła w tył ciężkim kaszkietem.

Dalej wzruszające rodzeństwo: dwu braci jednakowej miary, bo obaj postawieni jeden na drugim, akurat dają metr w rezultacie, — otulili się jednym kocem, — zapewniając gniewnego podporucznika, że pod drugim doskonale jest ich koniom, które przejęte są równie braterskim duchem i stoją równiutko jak zrośnięte zwierzęta.

Za nimi ponura twarz byłego rosyjskiego huzara, osadzona bezpośrednio zda się na krzywych nóżkach, — wpatruje się z goryczą w wesołe iskry, — które, umyślnie, jakby naigrawając się, że zapalić o nie niema co, — przyskakują do samych warg. Gdyby choć z pół papierosa...

Olbrzymie ręce głównej arterji plutonu, jego życia, energji, werwy, uporu, wytrzymałości, niezmożonego hartu, — ręce podoficera Wichra miotają się oszalałemi palcami po ciele obieranego ziemniaka. Aż brunatne kartoflane oblicze bieleje ze strachu i bólu,, — i wreszcie z głębokim chlustem ulgi i ukojenia ginie w chłodnej wodzie cebrzyka. Nieporównany Wicher. Ten olbrzymi chłop nie zna zmęczenia. W tyraljerce taszczy za sobą olbrzymi szpadel, — i nim inni ułożą się wygodnie, ten siedzi już w łokciowym dole, mając przed sobą

napierśnik, zdolny zasłonić słonia, — albo żyrafę. Pluton zajeżdża na kwatery, waląc się z koni, — Wicher bierze pod pachę motykę, i gwiżdżąc idzie kopać ziemniaki. Kocha się w ziemniakach. Praktyk i administracyjna głowa wyborowa. Przytem ma wielką zaletę, — doskonale kradnie konie w taborach.

Święcki, poeta, z pewnością, mrużąc oczy od blasku, wywija z krętych płomyków sonet, — by się ogniem wyrył w jego piersiach.

Roch — tryloglota, zajęty wyciąganiem ze wszystkich kieszeni podejrzanych śmieci, które mają zastąpić tytoń, — rozpamiętywa skwapliwie uściski ostatniej zbałamuconej dziewczyny.

Nad brzegiem Newy napewno siedzi teraz Albrecht i płucze duszę w petersburskiej mgle. Albrecht jest sympatyczny. Petersburg, Newa, kursistki, — morowy pareń. Albrechcie, czy zdrętwiałe w ciężkiej służbie paluszki muzyka, nie odmówią posłuszeństwa, gdy je przyjdzie wrócić klawiszom? Wzwyczaiły się już do grania na innych zębach niż fortepianowych...

A szkoda. Bo jeśli twoja muzyka jest jak twoja dusza, to jest ładna.

A ordynans Bohus? Bohusowi też jakiś smętek wlazł na szerokie bary. Pewnie mu się przywidziały żniwa we swojej wiosce. Dzieuchy som, — i słonko, — snopy, że to hej! Koszula przylgnęła na grzbiecie, — trawy pachną, — a dziedzic wymyśla niewiadomo komu, że tak dużo kąkolu w życie. Spokój i cisza...

Siedzi Bohus i kiwa kwadratowym łbem.

Siedzi zastęp braterski wokrąg ogniska i każdemu dumy dziwne po głowie chodzą. Jak garść błędnych rycerzy w pościgu za ideałem...

A w mrokach nocy cuda się dzieją. Ciemna przepona chybotać się zaczyna i chwiać, a kłębić i tumanić, to odmykając, to gęstym woalem zasłaniając tajemnicze głębie. Po

rozległym stropie rozlewa się raz niezmierzony fiolet, by za chwilę zaróżowieć i rozbłysnąć krwawą błyskawicą.

Głosy jakieś stłumione słychać, splątane w gwar, coś jakby trąby, — jak bębny. Niewidzialne tłumy przewalają się nad głowami, — sypiąc w dół posłuch i grozę. Drugi świat czyni się tam.

Zmęczone oczy chwytają w chaosie punkt jaśniejszy. Powiększa się i rośnie, — przewija poprzez poszarpane kłębowisko błyszczącą wstęgą, — ściele jasną drogą ponad wierzchołki drzew. Głosy cichną stopniowo, — zalega na niebie milczenie, bezwład, — bezruch. Tylko jasna droga bieli się mgielną taśmą. I tam, daleko, u jej początku, budzi się ruch, jakiś nowy, — coś, co dźwiękiem rośnie, jak toczona śnieżna kula swoim ciałem.

Ze zmiętoszonej kakafonji wyłania się nuta jedna, jakby miarowe bicie kijankami. I druga — niby szelest skrzydeł tysięcy bajecznych ptaków.

Wał cieni sunie drogą.

I są już nad nami. Przelatują górą niepewne kontury, zwichrzone jeszcze bardziej pędem. Konie skrzydlate, czy co?

I naraz krzyk ogromny:

— Jezus, Marja!

Błysk wzniesionego koncerza. Husarze!

Droga tętni teraz hukiem i drży ciężarem żelaznych postaci. Myt po niej bierzy. Przemknęli.

I ledwie przebrzmiał ostatni okrzyk, wali nowa burza.

Z mniejszym łoskotem, bardziej powiewna i lotna. Słychać furkot chorągiewek i chrapanie zdyszanych końskich piersi.

Zgrzytliwą, zamazaną jakąś melodją, co chwila zatracając i gubiąc tempo, skacze pieśń po drzewach, obija się o konary, — i stugębnym echem spływa między nas.

— Jeszcze Polska nie zginęła!...

I wtem, odbita nowym chórem, młodych piersi, — po-

tężnieje, — wzmożona na siłach wraca na mleczną drogę i razem z tamtymi leci w dal, w światy, — między gwiazdy, wielka i królewska.

To drugi pluton śpiewa.

— — — — — — — — — — —

Na zielonej równinie, nad gładką taflą rzeki stanęły szwadrony w szarzyźnie zmierzchu, jednolitą ścianą, skupione w sobie, ciche, zwarte.

W balsamicznem chłodnem powietrzu wieczora, znieruchomiały młode twarze z marsem wpatrzone na otoczyste kretowiska wzgórzy na przeciwległej stronie.

Otwiera się nowa karta ich bohaterskiej epopei.

Z czyichś niedomkniętych ust padło pytanie:

— Ilu nas tam zostanie?

— Phi...

Rozchichotały się, rozperliły nad brzegiem trąbki szwadronów.

— Gdzież to my idziemy? — przeleciało ciekawie wzdłuż szeregu z rozwartego mosiężnego gardziołka. A z drugiego końca buńczuczny głos odrzucił:

— Jakto gdzie? Ścigać śmierć!

I znów:

— Poco my idziemy?

— Poco? Śmierć dognać, zgnębić ją, zwyciężyć. Po to, by na piersiach tych, co tam zostaną, pozostali mogli, jak na trwałym pomoście odbudować swoją chatę, roztrzaskaną, rozbitą przez okrutny jeden wiek. A wtedy z błędnych, podniebnych rozłogów, wrócą do niej bezdomni tułacze, wrócą husarze. Bajeczne ptaki znów wrócą na ziemię.

— Jak idziemy?

— Tłumno i zbrojno, hucznie i buńczucznie bośmy moc! Na ścigłych koniach na upojne pędy, z szablą w dłoni, na warkie bitwy, z pieśnią na ustach za dobrą sprawę!

Ścichły trąbki. Nieruchoma ściana pękła, łamać się zaczęła i zmieniona w sznur długi, węzlasty, wpełzła na chrupki most. Orkiestry grały.

Dziś już są za Bugiem i idą ciągle przeciw śmierci. Starym, utartym szlakiem. A gdy który z nich spotka się z nią w polu, z tą niewidzialną, — a obecność swą manifestującą złym przeciągłym gwizdem, — wypręży pierś, — czujne oczy utkwi w dal, z której przybywa i warknie:

— No, chodź, psiamać. Myślisz, że się zlęknę?

Biwakują za rzeką z nieprzemożnej woli mocarnego Rozkazu. Zniewoleni maleńkiem, skąpem słowem Rozkazu, który oto może teraz zagasić odrazu wszystkie rubiny ognia w czarnej koronie lasu, wzniecić ruch w ospałej gromadzie, i rzucić ich albo w nużący pochód, albo we wściekłą szarżę, albo w baczny podjazd... Ale zawsze i wszędzie napewno, osłodzi im trudy i znoje, upojnem rendez-vous ze Śmiercią...

— Usłużny, grzeczny Rozkaz...

VI.

MAGIK.

— No?

— Ich will in polnischen Legionen eintreten — odpowiedział skrzypliwy głos najczystszym żargonem wiedeńskim.

— Nie mówi pan po polsku?

— Nein, mein Herr.

— Posiada pan jakie wykształcenie wojskowe? Umie pan cokolwiek?

— Naturellement. Ich bin a Kunstreiter, Kunstschützmeister, Trampolinist...

— Dosyć. Zapisać: cyrkowiec. Do jakiego oddziału pan chce wstąpić?

— Bilina. Yes, Bilina Kawalerie.

— Jakiej pan narodowości?

— Pole, ein Pole.

Oficer, kierujący werbunkiem w Krzysztoforach obejrzał ze zdziwieniem ochotnika.

— Polak? I nie włada pan ojczystym językiem? Skąd rodem?

— Galizien. Strij.

Oficer pokręcił głową.

— Ile pan ma lat?

— Sechszehn.

— To mało. Nie wolno nam brać, jak tylko od osiemnastu.

— He? Malo? Wenig? — Zwanzig!

— To co innego — roześmiał się oficer.

I pan Fryc Kępina został żołnierzem Beliny. Poczciwa fizjonomja przypominała wszystko raczej niż Polaka. Hunn, Zulus, Papuas, Japończyk, — dzikus jakiś z wysp Samoa, — ale nie poczciwy Galileusz ze sławetnego grodu Stryja. Na figurce dwunastoletniego chłopca olbrzymi, kędzierzawy łeb o skośnych, niknących gdzieś w fałdach pomarszczonej skóry oczkach, o nosku wielkości laskowego orzecha, skurczonym tak, że robił wrażenie jakby mu stale coś pod nim... pachniało. Szerokie wargi od ucha do ucha, organy słuchu na kształt dwu wachlarzy, któremi dziwnie umiał ruszać, przypominały słonia, chłodzącego się w upalny podzwrotnikowy dzień. Uniform ułana robił zeń już nie karykaturę, bo tą był zawsze, ale potworka, bożka komizmu. W o wiele zadużym na niego czaku, w kożuchu, sięgającym cieniuchnych łydek, z jakimś krzyżackim mieczem przy boku, poważnie kroczył i opędzał się kpinkującym kolegom.

— Kusz! Du, bawan (bałwan)!

Gdy miał żartów zawiele, zrzucał rynsztunek i stawał w pozycji boksera, wyciągając żylaste i muskularne ręce i piąsteczki małe a twarde jak żelazo.

— Also! Komm hier, łysy byku! Komm sofort!

Doskonałym był kolegą i rzeczywiście osobliwością dywizjonu.

Smarkacz sześcioletni uciekł ojcu z domu, by pójść za wędrowną bandą linoskoków, goszczących chwilowo w jego gościnnem mieście. Wałęsał się po świecie długi czas — żyjąc rozmaicie.

W Ameryce był kowboyem. W Australji dozorował negrów na plantacyach. W Algierze był tragarzem okrętowym. Wrócił do Europy z całym zasobem nabytych umiejętności

i poświęcił się karjerze sceniczno-arenowej. W Londynie boksował się i był ideałem londyńskiej młodzieży na tem polu. W Sztokholmie nabył sławy niezwykłą jazdą konną.

Zaczęło mu się powodzić dobrze.

Wojna zastała go w Wiedniu. Gdy dotarła tam wieść o Legjonach, — w tym zniemczałym akrobacie obudziła się dusza polska, — i niezłomny rycerz wziął górę nad linoskokiem. Rzucił doskonałą posadę w jednym z wiedeńskich kabaretów, — zamienił lśniące lakierki na komiśne żółte buty, — na trykoty wdział siwy mundur i zjawił się w Krakowie.

Mówił wszystkiemi możliwemi językami, prócz jednego — ojczystego.

Talentów posiadał bez liku. Doskonale naśladował wszystkie zwierzęta, ptaki, — maszyny nawet. Samochód udawał tak świetnie, że konie szwadronu płoszyły się i dębiły.

Na postojach stale zabawiał kolegów prestidigitatorskimi popisami.

Zwano go Magikiem.

Przybywszy do szwadronu, gwałtem dopominał się o „lasso“ i twierdził, że będzie nań łapał kozaków. Rzeczywiście, ukradł gdzieś w końcu długi, konopiany powróz i wiecznie się z nim woził. To mu przysporzyło nowy przydomek: Hycla.

— Hycel, oddaj sznur! Hycel, puść psa!

Hycel oglądał się złemi oczami, — jak podrażniona małpka.

Ducha nie tracił nigdy, — z najpaskudniejszych opresji wykręcał się zdrów i cały.

Kiedyś wysłany został na patrol razem z czterema innymi. Odbił się od nich i zalazł nieszczęśliwie aż poza linję posterunków nieprzyjacielskich. Złapany przez wartę i przyprowadzony do chałupy, gdzie stali — zaczął się z miejsca popisywać swojemi sztuczkami, i tak zabawił sołdatów, że ci dopominali się o więcej tych cudów. W końcu, jako clou popisu,

zaproponował im, żeby się rzucili na niego z bagnetami, — kłując tak, jakby kłuli naprawdę. Jeden z nich pchnął z całej siły. Momentalnie karabin wyjechał w górę i uderzył o sufit a oszołomiony żołnierz znalazł się w drugim kącie — na ziemi.

— Wot, czort! Nu, — my paprobujem!

Po chwili karabiny leżały razem na kupie, — a żołnierze rechotali i głowami kręcili z podziwu i zachwytu.

Tej chwili czekał Magik. Skoczył w okno, — wybił całe razem z ramą — i buchnął w ciemną noc. Sołdaci klnąc, rzucili się do broni, ale Magik już był daleko. Tylko zdala, na pożegnanie zawył im ponuro, przeciągle, po wilczemu.

Chłopi wstrząsnęli się, przeżegnali pobożnie i wrócili do izby moralnie przekonani ,że to był sam djabeł, — i radzi, że im w dodatku łbów nie poukręcał.

Przygód podobnych, — przy swej niesłychanej odwadze, — miał mnóstwo.

Przyszła jednak chwila taka, iż zdało się że Magik zginie bezpowrotnie.

Ułani przechodzili wówczas, w pogoni za ustępującymi przez rozległe płaskie równiny litewskie.

Uchodzący nieprzyjaciel palił za sobą i niszczył wszystko, wysiedlając najformalniej kraj z ludzi i zabierając ich ze sobą. To były smutne marsze dla dywizjonu. We dnie pochody długie i męczące poprzez opustoszałe wsie i sioła, doszczętnie zniesione z powierzchni ziemi, tak, że tylko kilka opalonych kominów i parę zczerniałych i konwulsyjnie od pożogi powykręcanych kikutów drzewek owocowych — świadczyły, że była tu niegdyś siedziba ludzka, że byli tu ludzie, mieszkali i uprawiali te ogromne pola, po których teraz jeno wiatr hulał.

Tu i owdzie z ciepłych zgliszcz wywinął się jeszcze wąziutki pasek dymu i wybłysła mała iskierka, — tu walała się w popiele do połowy upalona kołyska i woń spieczonej farby nieprzyjemnie uderzała nozdrza, — tam z popod gruzów wy-

chylał się skrawek pobielanej ściany i święty obrazek ze stłuczoną szybką — patrzał smutnie oczami Chrystusa na nędzę wojny.

Wszystko zginęło w płomieniach — nawet płoty — sady, krzaki, — wszystko zniknęło i rozleciało się szarym pyłem po świecie.

Z bujnej, kwitnącej życiem i dobrobytem, ślicznej, romantycznej wsi litewskiej pozostawała czarna plama zwęglonych belek, — i więcej nic...

Nocami chłodny biwak na gołej ziemi, — oświetlały dywizjonowi wieńce łun na horyzoncie, — i urozmaicały przytłumione huki armat, bijących w te ognie.

Straszny to był widok, — i to poczucie niezmiernej pustki i samotności, — i świadomość, że idzie się tam, w tę czerwień przeogromną, — po śmierć.

I że niemasz nikogo, coby cię z tej drogi zawrócił.

A choćby był, wiedziałeś, że wysiłki jego byłyby próżne, — bo pójść tam trzeba, trzeba koniecznie.

Fatalizm gna?

Wola?

Sprawa?

Ambicja?

Wszystko jedno.

A więc — dopaść tych czeluści, — aby prędzej skoczyć w to płonące morze — zatracić się w boju, zapamiętać, upoić, oszołomić, — i wierzyć niezłomnie, że zatratą okupi się coś.

— — — — — — — — — — —

Ułani byli pomęczeni, wyczerpani, głodni i źli. Głodni, bo tabory często nadążyć nie mogły za jazdą — a kupić, dostać jedzenia nie było można.

Od kogo kupić, jeśli się nie spotyka dosłownie psa z kulawą nogą? Zdawało się, że ptaków niema na tej pustyni, — że i te pociągnęli za sobą perfidni Sybiracy.

Gdzie się przespać, jak niema ni izb, ni stodół, ni stajni, — ni kawałka dachu?

Więc jeden z drugim secesyjnie spluwał przez zęby, — owijał się skąpym kożuszkiem, — nakrywał derką konia, — i kładł się na ziemi, przysuwając boki do ciepłych popielisk.

Konie też cierpiały. Często nie było czem nakarmić, ani napoić.

Schylony, czarny, nieruchomy łeb wiernego towarzysza z opuszczoną dolną wargą, melancholijny i smutny, — na tle tej wiecznej draperji pożarów, — oto był obrazek, jaki chwytał mdlejące źrenice zasypiającego ułana.

— — — — — — — — — — —

Magik znosił to lepiej niż inni. W ciągu swego awanturniczego żywota przywykł do niewygód i nauczył się przystosowywać do różnej doli.

Ale i jemu się to w końcu znudziło. Dywizjon dotarł do Wysokiego Litewskiego i nawiązał kontakt z wrogiem.

Nad brzegiem rzeki, na przedmieściach rozłożyli się ułani — spoglądając na szarzejące w cieniu wieczora, na przeciwległym brzegu miasteczko. Kryło w sobie tajemnicę.

Byli tam Moskale, czy nie?

Puls walki bił po bokach — gdzieś z głębi tamtej strony grzmiały armaty i żelazne pozdrowienia słały tutaj. Ale samo miasteczko było ciche i martwe.

Chłopcy łasemi oczami spoglądali na szare domki, — wiedząc, że się tam kryją skarby przez nich upragnione — dostać można podobno wszystkiego — i jedzenia i papierosów wbród.

Ale czy oni tam są?

Żydkowie mówili rozmaicie. To, że już od rana wyszli, — to — że stoi tam pułk orenburskich kozaków — i łupi miasto.

Ułani chodzili na brzeg, nadstawiali ucha, wytężali oka.

Ani szmeru.

Wreszcie Magik nie wytrzymał. Odpiął od siodła nieodłączone swoje „lasso", zdjął karabin z pleców, — i kociemi krokami wszedł na chwiejne i śliskie deski położone na dylach po spalonym przez Rosjan moście. Doszedł do połowy, z trudem zachowując równowagę — na obmokłych belkach zatrzymał się, nadsłuchując pilnie czy nie usłyszy czego podejrzanego.

A fala pluskała cicho w dole.

Jego ciemna postać odcinała się wyraźnie na tle jasnego nieba zachodu.

Wtem na brzegu, nad samą wodą, zabłysła nitka wystrzałów i rój kul przeraźliwie zagwizdał mu koło uszu.

Przyglądający się ułani wykrzyknęli z przerażenia. Magik spadł z mostu, jak podcięty kłos.

Rosjanie poprzestali na tej jednej salwie.

Ale Magik nie zginął.

Poprostu skoczył do wody niegłębokiej i sięgającej mu w tem miejscu po biodra. Ukrył się w cieniu sterczących w wodzie bali i rozmyślał co począć.

Nagle porwała go szewcka pasja i chęć zemsty nad drabami — którzy tak rozbili jego wszystkie piękna nadzieje.

Szybko powziął decyzję.

Schylił się nizko i powoli jął się od bala do bala posuwać ku brzegowi. Krył się w mroku i brnął wodą cichutko, jak duch.

Chwilami zatrzymywał się, by odsapnąć i tchu nabrać w zmęczone piersi. Bród był ciągle, ale coraz płytszy.

Wreszcie dotarł do ostatniego pala, stojącego jeszcze w wodzie. Dalej był brzeg.

Wychylił głowę i uśmiech radości przewinął mu się przez wargi. Tuż nad rzeką siedziało sześciu żołnierzy i obrócony do nich oficer coś im objaśniał i tłomaczył..

Magik przyłożył zwolna kolbę karabinu do twarzy i zmierzył.

Wtem przyszła mu myśl do głowy.

Odjął karabin, przewiesił przez ramię, — odpiął swój sznur, ujął go lewą ręką, a prawą począł rozhuśtywać jego koniec, zaopatrzoną pętlą w koło i koła coraz większe.

Wreszcie wyprężył się, jak do skoku.

Wtem na brzegu rozległ się wrzask. Przerażeni żołnierze ujrzeli jak z ciemności coś nakształt węża spadło nagle na głowę ich oficera, — ścisnęło mu szyję, przewróciło i pociągnęło ku rzece. W jednej sekundzie zniknął pod mostem.

Żołdacy bez opamiętania zaczęli strzelać w wodę. Powstał tumult i strzelanina na całej linji.

Ułani, zdziwieni, nie pozostali w tyle z odpowiedzią. Przez rzekę przelatywały stada kul, nie czyniąc zresztą nikomu krzywdy. Seledynowe światełka strzałów błyskały to po jednej, to po drugiej stronie odbijając się w wodzie jak fajerwerki.

Ułani, stojący przy moście, usłyszeli nagle plusk jakiś i szamotanie w rzece. Karabiny zniżyły się.

— Stój, kto idzie?

Z wody wynurzyła się mokra i zasapana twarz Magika, który ciągnął za sobą zupełnie zmaltretowanego, napół zduszonego, pojmanego na arkan oficera.

VII.

W O Ś.

Krępa, nizka osóbka Wosia znana była w całym dywizjonie. O wiecznie wesołej, uśmiechniętej twarzy, ruchliwy, energiczny, bystry był wszędzie mile widziany dla swego humoru i niewyczerpanego zapasu kawałów i anegdot wszelkiego rodzaju. Gdy niepokaźna figurka zwieszona ze szczytu wypchanego i opakowanego „boku", umieszczonego na kościstym grzbiecie olbrzymiej mechatej kobyły, zwanej w szwadronie wielbłądem, mijała szeregi, dążąc na swoje miejsce w drugim plutonie, ze wszystkich stron rozlegały się dzikie wrzaski:

— Woś, Woś, — my chcemy Wosia!

Gdy krzyki nie skutkowały, i Woś, jakby nie słysząc, najspokojniej jechał dalej z wieczystym swoim uśmiechem, — z któregokolwiek plutonu wyrywał się jeden, doganiał go, szarpał za ramię i gwałtem zapraszał do spragnionego jego towarzystwa oddziału.

Bo nieoceniony ten chłopk był kaleką: był głuchy jak pień.

Za dziecinnych swoich czasów zdradzał szczególniejsze zamiłowanie do fabrykacji wszelkiego rodzaju bomb, min i innych pękających i hukających rzeczy. W skromnym dworku, u ojca, który był zarządcą dóbr jednego z arystokratów

galicyjskich — jak tylko mały Woś przyjeżdżał ze szkół na święta, — po całych dniach w pokojach i na podwórzu rozlegały się huki i eksplozje, którym towarzyszyły wrzaski przerażonych domowników i brzęk wypadających szyb. Klucze od stodół, śpichrza i stajni stale rozsadzał prochem kradzionym ojcu. Brał za to później baty porządne: za kradzież prochu, za zniszczone klucze, za rozbite szyby, za strach matki, — i dalej swoje robił.

Dobrał się wreszcie kiedyś do gabinetu ojca i do otworzonego biurka.

Akurat była tam pełna szuflada naboi od dubeltówki i coś ze cztery funty prochu strzelniczego.

Tego było trzeba właśnie smarkaczowi.

Zechciał się przekonać, czy nabój wystrzeli, jak go uderzyć młotkiem. Nie wiele myśląc porwał stalowy przycisk z biurka i grzmotnął nim po nabojach.

Leżał potem trzy tygodnie w łóżku z osmaloną gębą— i wstał głuchuteńki.

W komisji werbunkowej, bacząc na jego kalectwo nie chciano go przyjąć. Przedarł się aż do linji, dotarł do szwadronu i już żadna perswazja nie mogła go stamtąd wykurzyć.

Najgorzej było z komendą.

— Dwójkami w lewo, marsz! — Woś widzi jakiś ruch, ale narazie nie wie o co chodzi i najspokojniej wyjeżdża na prawo, łamiąc szyki i porządek. W linji tyraljerskiej kule gwiżdżą, granaty łomotają — aż dech zapiera — Woś uśmiecha się, — prosi sąsiada o papierosa i dziwi się, że ten nie słyszy i nie odpowiada. Ogień staje się piekielny, — komenda:

— Padnij!

Wszyscy przypłaszczają się jak żaby do ziemi, — Woś kroczy poważnie naprzód i pogwizduje aktualny kuplecik. Dopiero kamyk, rzucony nań przez któregoś z kolegów przyprowadza go do porządku.

Odważny bardzo, obdarzony zimną krwią i zdolnością

szybkiej orjentacji, — miał jedną ambicję: odznaczyć się w jakikolwiek sposób.

Nie było sposobności.

Skromna rola szeregowca, jaką sprawował w hierarchji wojskowej, mało dawała pola do popisów strategicznych. To też skarżył się i wzdychał biedny Woś.

— Gdyby choć kapralem zrobili! Jużbym pokazał co potrafię.

W końcu dla niego, słuchacza filozofji, autora już wielu znanych i uznanych rozpraw — zielony sznurek kapralski stał się marzeniem i celem zabiegów, które zdumiewały nieraz swoją odwagą, posuniętą do zuchwalstwa.

— — — — — — — — — — —

Wczesnym rankiem szwadron, który był w rezerwie, poderwano na nogi. Na gwałt siodłano konie i wyprowadzano na drogę. Plutony niewyspane i głodne ściągały z zagród, formowały się, łamały, ustawiały i znów psuły linię złe, że im nawet kawy spokojnie wychłeptać nie dano. Woś, już oddawna na swoim miejscu, zawistnym okiem mierzył oganiających niesforną kupę oficerów, — i syczał przez zęby swą wieczną zwrotkę:

— Psiakrew, gdyby choć kapralem zostać. Pokazałbym tym ofermom. Baczność, to baczność, do cholery! Banda, nie wojsko! Lalusie, psiamać, żołnierze! Tfy!

Tymczasem szwadron zwarł się, uszykował i ruszył z miejsca rysią.

— O, serwus — mruknął Woś — coś będzie.

Przejechali wieś, wpadli między zboża falujące srebrem pod nikłe światło wschodzącego dnia. Świeża, mocna woń szła od pól, rozszerzając piersi swym zdrowym, radosnym tchem. Skowronki świergoliły gdzieś pod niebem, i gdyby nie kurzące się z boku zgliszcza jakiejś samotnej chaty, nicby nie przypominało, że nad tym krajem nietoperzemi skrzydłami zawisło

nieszczęście, i że śmierć tutaj jest jedynym oraczem, co orze żelaznymi pługami granatów, — i żniwiarzem, co życie kosi bagnetami.

Wjechali do wsi.

Woś pogrążony dotąd w głębokiej zadumie poczuł energiczne sturgnięcie w bok i obejrzał się. Szwadron stał już pod stodołami w pogotowiu, konie na boku i ludzie uszykowani w sznur.

— Przeklęte uszy — warknął i zawrócił konia.

Nastąpiła chwila oczekiwania, gorsza od akcji. Ludzie porozciągali się na ziemi, by jeszcze choć chwilę wypoczynku dać mięśniom, nim pójdą tam, — w bój. Kto miał, palił papierosa, bo później, w linji czasu na to nie będzie.

Rozległ się tętent — wpadł ordynans.

— Drugi pluton ! Do ognia!

Podporucznik obrócił się, jak na sprężynie.

— Drugi pluton, baczność! Z ramienia broń! Za mną!

Szczęknęły lufy krótkich, kawaleryjskich sztucerów.

Woś za innymi ściągnął karabin z pleców, naładował — i pluton gęsiego, powoli jął się wysuwać ze wsi na ogromne dworskie pole, zasadzone kartoflami. Cienką nitką wszyli się w wysoką, urodziwą nać.

— W tyraljery!

Ułani rozsypali się, jak spłoszone kuropatwy.

Po chwili rozległ się strzał, jeden, drugi jeszcze nieśmiały, niepewny, jakby niewinne pytanie:

— Gdzie jesteście?

Za godzinę tyraljerka odsunęła się już o tysiąc kroków ode wsi — zaczęły grać armaty — i bój zawrzał w całej pełni.

— — — — — — — — — — —

Na skraju kartofliska, pod krzakiem wilczych jagód, Woś okopał się, — i zacisnąwszy wargi, strzelał. Przy każdym strzale nasłuchiwał pilnie czy nie usłyszy huku. Nie. Czuł tyl-

ko jak karabin oddaje, — zresztą dla niego było naokół głucho i cicho. Nawet kolegów nie widział zza osłony swego szańczyka. A jednak teraz właśnie, huk był i trzask i terkot największy. Burasy, niewiadomo jakim sposobem, — czy to że przełamali linję sąsiadujących Węgrów, czy to idąc za ustępującymi, dostali się na skrzydło i prali z flanki — wzdłuż linji strasznie.

Kule jak złe osy przelatywały nad okopkiem Wosia, jakby irytując się, że ten nie zwraca na nie uwagi — na nie — poselki śmierci.

Wreszcie Woś poczuł, że coś szarpnęło go mocno za lewe ramię, uczuł ból i ciepło — chwycił ręką, — na palcach pozostała krew.

— Znaczy — ranny jestem. Tem gorzej dla was. — I strzelał jeszcze zapalczywiej.

Ogień stawał się nie do wytrzymania, były już straty.

Komendant plutonu zadysponował odwrót.

Należało zmienić kierunek, inaczej wszyscyby padli. Przemknęła po sznurze tyraljerów podawana z ust do ust komenda i ułani pojedyńczo zaczęli się wycofywać z powrotem ku wsi.

Wkrótce skraj kartofliska zajęli Moskale, przeszli dalej, wypierając ułanów aż za wieś, — i wracali weseli i pewni swego najzupełniej ze śpiewami i żartami.

Wtem z pod małego krzaczka wilczych jagód huknęły dwa trzały, — i dwu zwaliło się na ziemię.

To strzelał Woś.

Nie słysząc komendy, ani przerwania strzelaniny, nie widząc odwrotu swoich, był pewien, że linia trwa w dalszym ciągu i że bitwa wre jeszcze.

Moskale prędko się spostrzegli, że strzały idą z odosobnionego okopu, gdzie skryć się mógł najwyżej jeden człowiek. Więc dziesięciu rozsypało się w tyraljerkę i zaczęli formalne oblężenie.

Woś zdziwił się cokolwiek temu, że Moskali widzi nagle z całkiem innej strony, niżeli być powinni.

Wychylił głowę ponad kupę piasku, spojrzał z poza gałązek krzaku i zbladł.

Zmiarkował co zaszło i wiedział, że teraz czeka go tylko śmierć. To te podłe uszy znów były winą wszystkiego.

Sam jeden — ranny, — a tam dziesięciu i lada chwila może być więcej.

Trudno.

Umrzeć, to choć dobrze umrzeć. Spaść, — to z dobrego konia.

I zaczął się odstrzeliwać.

Ale ramię bolało i słabł.

Wypalił jeszcze raz, jeszcze dwa razy, — i czuł że trzeba coś przedsięwziąć, bo inaczej — koniec.

A niebo w górze takie ładne, błękitne, tak ładnie na tle jego wyglądają czerwone jagody krzaka, i tak się nie chce umierać...

Burki tymczasem strzelali i krzyczeli „zdajsia"!

Ale powoli ich samych zaczął oblatywać strach. Oto już od dziesięciu minut biją z dziesięciu karabinów przeciwko jednemu; ten żyw, a z pomiędzy nich już czterech ziemię gryzie. Sam ten fakt, że ktoś w pojedynkę został się i nie krzyczy „pardon", — tylko poświęca się i idzie na pewną śmierć,— zdejmował ich szacunkiem i trwogą. Widać jakaś siła nieczysta jest tutaj i pomaga temu małemu, szaremu i rogatemu co tam siedzi w dziurze.

Woś ostatnie pięć naboi wsunął do magazynu, zamknął, i zdeterminowany zupełnie, przeżegnał się, podniósł i wyskoczył na brzeg okopu.

W ostatniej pasji, — wściekły na to głupie i beznadziejne położenie, w którem się znalazł, zmierzył do swoich prześladowców i wrzasnął nieludzkim głosem:

— Ruki wwierch, małpy, bo wytłukę jak psów!

Wyrósł przed zdumionemi oczami sołdatów, w kaszkiecie, który ich zawsze trwogą przejmował, — jak straszydło umazany krwią i ziemią z wykrzywioną dziko twarzą i zwichrzoną czupryną.

Tego było nadto prymitywnej psyche mużyka.

Zuchwalstwo zaimponowało chłopom.

I oto stała się rzecz nieprzewidziana.

Sześć karabinów uderzyło o ziemię i sześć par rąk wzniosło się do góry...

— Nie strielajtie, pan, my sdajemsia.

Woś momentalnie zorjentował się w sytuacji.

— Taaak... To znaczy wziąłem jeńca. Ano, dobrze.

I zapomniawszy o ranie, o bólu i ostrachu, ruszył do wsi, a sześciu chłopa w pokorze za nim, machając miarowo swemi olbrzymiemi, pozbawionemi broni łapami.

Przed wsią jednak znów z sił opadł. Upływ krwi był znaczny.

Obejrzał się podejrzliwie na jeńców i wyciągnął rewolwer.

— Bliże!

Zbliżyli się posłusznie.

— Wazmitie mienia na ruki!

Chłopi spojrzeli po sobie ze zdumieniem, — ale dwuch podeszło i wzięli go na ręce jak dziecko.

A ten ich objął za szyje i tak paradowali.

— — — — — — — — — — —

Sztab brygady nadjechał był właśnie i stał na drodze we wsi, komentując świeżo odbyty bój, gdy wtem ukazał się niezwykły widok.

Dwu żołnierzy rosyjskich niosło ostrożnie w ramionach rannego ułana, a czterech szło po jego bokach, sprawując jakby honorową eskortę.

Widok był tak nieoczekiwany i zabawny, że gromadka

oficerów parsknęła śmiechem. Rzeczywiście komiczne były brodate fizjonomje i barczyste postacie tęgich chłopów, którzy w charakterze powolnych i pokornych rabów, piastowali z szacunkiem maleńką osóbkę Wosia, swego pogromcy, pana i tryumfatora, któremu brakło ćwierci do śmierci.

Dziwny ten orszak nadszedł i stanął przed brygadyerem. Ranny ułan, zasalutował drżącą ręką i „odmeldował posłusznie", że oddaje sześciu wziętych niewolnika...

Wtedy brygadjer odpiął z piersi czerwony, jedwabny sznurek oficerski i zawiesił Wosiowi na ramieniu.

Woś, u szczytu marzeń, tonąc w upojeniu i zadowolonej ambicji, — słabnącym głosem wypowiedział się z dość dziwną, jak na uroczysty moment, chęcią.

Rzekł bowiem:

— O, gdybym mógł ucałować własne uszy!

Bo rzeczywiście: awans zawdzięczał głuchocie.

Sztab ryknął śmiechem.

VIII.

DWOREK.

W strzyżonych z francuska grabach i lipach, w tłumie symetrycznie zbitych na kupę klombów, kwietników i krzaków jaśminu zasiadł głęboko w jasnozielonej wiosennej obłoce krzewów, — stary, modrzewiowy dworek — spokojny i cichy.

Ładny, pochylony nieco ku przodowi ganeczek ocieniało dzikie wino, pnąc się wyżej, na wykrzywiony polską modą i porosły mchem siwym i rudym, — dach.

Ukryty i skromny zakątek litewski, — patrzał roku tego na dziwne jakieś zdarzenia.

Szli dniami pobok od poblizkiego miasteczka ludzie w barwnych kostjumach. Wysokie, futrzane bermyce mieszały się z błyszczącemi hełmami, o rozpuszczonych na wiatr końskich ogonach, wspaniałe trójkątne kapelusze bajecznych jeźdźców — strzelały ku niebu bielą pióropuszy, wysokie cylindry chwiały kitami.

Furgony, armaty, ambulanse, karoce przeciągały dniem i nocą — dążąc na wschód.

A na końcu coś z bajki, — co nieoczekiwanym dreszczem przejęło stare ściany.

Pewnego dnia przejeżdżał niedaleko karetą jakiś mały, mały pan w wielkim stosowanym birecie, i przenikliwe spoj-

rzenie jego siwych oczu oślizgnęło się z uznaniem po ciemnych bierwionach i wygiętem dachu.

Ale nie on sam był powodem wzruszenia dworku.

Nie on, a jego świta.

Dworek nigdy jeszcze nie widział podobnie świetnych rycerzy. Wysokie, barwne kaski, obcisłe mundury, kapiąc srebrem i guzami, — rabaty, lampasy, — szable na srebrnych sznurach, orły, lance i chorągiewki.

Śliczni byli.

I jeden z nich, znudzony długą kwaterą w miasteczku, zawitał do dworku, piękny, mieniący się, jak motyl.

To był ładny dzień dla dworku.

A tamten odtąd bywał często.

— — — — — — — — — — —

W małym saloniku ciepło było i przytulnie, jak w bombonierce. Woskowaną podłogę pokrywały płaty samodziałowego płótna, pod okrągłym, machoniowym stołem ustępując miejsca perskiemu kobiercowi. W jednym rogu pokoju stał spinet z pożółkłemi klawiszami, a na nim rozrzucone nuty i piosenki. W drugim komódka z ciemnego drzewa rżnięta w arabeski i kolumienki wykładane masą perłową i słoniową kością wdzięczyła się tłumem poustawianych na niej porcelanowych figurynek. Żył tam cały, barwny, filigranowy światek. Więc pasterka w różowej sukience o wysmukłych nóżkach obok czarnego kominiarczyka, nieodzowny chińczyk kiwający żółtym łbem o skośnych oczach, — dalej rodzina piesków, — wymuskany i strojny kawaler w stroju Ludwika XV wsparty na wysokiej lasce, strojny w aksamity i jedwab, murzynek przepasany ponsową szarfą dźwigał kosz bulb kakaowych.

Poważny zegar o wypukłym cyferblacie, umieszczonym pod wspaniałym rycerzem na dębiącym się koniu wydzwaniał srebrnym głosem godziny i kwadranse.

Pod oknami, przesłoniętemi leciuchnemi jak mgła i śnieżno-białemi firankami stały w wazonach palmy i pelargonje. Zabłąkany między nie bukiet sztucznych kwiatów raził swemi bezdusznemi, pozbawionemi życia, sztywnemi i okurzonemi płatkami. Ze ścian, z rzędu malowideł wychylały się poważne postacie wojewodów i uroczystych matron, strojnych w hafty i koronki i spiętrzone koafiury.

Stół otaczały krzesła o wysokich, kręconych w spiralne węże — poręczach.

Na nizkim foteliku siedział ułan wpatrzony we wtuloną w kącik krytej czerwonym rypsem kanapki — dziewczynę i opowiadał pięknej pannie Cecylji dzieje swych pochodów.

...Zdobywaliśmy więc Hiszpanję. O wąwozy Somo-Sierry wyszła zawzięta batalja. Hiszpany działa w wązkiej gardzieli ustawili i na nic się zdało męstwo co najlepszych francuskich bataljonów. W końcu rozkaz przyszedł od cesarza...

Imć Kozietulski tylko koniem okręcił w miejscu. Naprzód! Ruszyliśmy w oną ziejącą paszczę...

Było tak, jakobyś w rozwarte czeluście piekielne wleciał. Ziemia się trzęsła i armatnie kule, jako wściekłe djabły po powietrzu się niosły. Kurz, dym i tylko strzały łyskają w takowej pomroce. A wiara niewstrzymanym pędem rwie i rwie poprzez one szeregi armatnie...

Umilkł na chwilę.

Panna Cecylja przejęte oczy zawiesiła mu na ustach, — jakby chcąc zrywać słowa tej bohaterskiej opowieści, zanim z warg spadną.

— To była rozprawa. I wiele innych. A wszędy za człowiekiem szła tęsknica wielka i jedno chcenie: do Polski! do tej ziemi cudownej, gdzie tylko żyć — i nigdzie indziej. Wejść znowu na rodzinne, topolowe drogi, — wnijść pod nizkie

słomiane strzechy, — oddychać oną cichą smętnością co od pól naszych bije... Sprzykrzyło się złoto i lazur italskiego nieba... Hej!

— Dziś bijemy się na naszej ziemi. I idzie z nami wiara, że on gienjusz, Napoleon, wskrzesi naszą biedną Ojczyznę, jako Bóg!

— Z tych dalekich światów które na wschodniej stronie podbije jego dłoń władna, na tych rozłogach pustych i ciemnych, kędy idziemy pocznie się nasza jutrzenka...

Panna Cecylja jasne, jarzące źrenice podniosła na młodego chłopca. Zamgliły się wzruszeniem oczy. Wyciągnęła dłoń ku niemu.

— Daj wam i nam Boże — wyszeptała.

Utonęli w sobie spojrzeniem.

Cisza zapadła w saloniku. Tylko zdawało się, że z pomiędzy porcelanowych figurek na komódce wysunął się nagle mały Amorek i coś długo manipulować począł koło swego oręża...

Panna Cecylja przeszła do szpinetu.

Popłynęły ciche, przytłumione dźwięki.

Przez koronkowe firanki miękko sączyły się do pokoju ostatnie blaski dnia.

— Po wojnie, po szczęśliwym końcu, przyjedziesz waćpan pełen glorji i chwały i weźmiesz zasłużone szczęście i nagrodę... — mówiła zcicha panna Cecylja.

— Ale jaką i z czyich dłoni? — szepnął gorąco ułan — pochylając się nad nią.

Twarz panienki zabarwiła się falą krwi.

— Tego nie wiem...

Ułan pochylił się jeszcze niżej...

— — — — — — — — — — —

Wieczorem, równiutko cięte ściany grabowego szpaleru powtarzały sobie ukradzione zakochanej parze zwierzenia i zaklęcia miłosne. Misterna koronka liści zda się przyklejona do grubych czarnych pni drżała leciuchno i szemrała przyjaźnie.

Kolosalne wiązy nastawiały się olbrzymiemi cielskami do księżyca by jaknajwięcej cienia rzucić na wązką aleję, — z przyjaźni dla młodych. Jaśminy rozesłały szeroko wonne płatki i upajająca woń mąciła w głowie. Z ciemnych gąszczów wychylał się ostrożnie biały faun i zaglądał ciekawie w głąb szpaleru. Zadźwięk cicho pocałunek...

Dworek mrugał oświetlonemi okienkami.

— — — — — — — — — — —

Minął jeden, długi wiek i jeszcze kilka lat. Litwę znów zalały zbrojne gromady. Dworek wyczuwał głęboko wkopanemi fundamentami odległe gromy jakieś, — jak dawniej — głosy przetaczanych dział.

Stary, nic się napozór nie zmienił, tylko ganeczek przekrzywił się jeszcze bardziej, i mech obłazić już zaczął, nawet biały komin. W ogrodzie strzyżone szpalery utraciły nieposzlakowaną linję, — wiązy graby i lipy zestarzały się okrutnie, i wyglądały teraz jak teatralna dekoracja.

Stary faun zgubił rogi i wykrzywił smutnie twarz.

W saloniku było wszystko po staremu. Tylko do rzędu malowideł przybyło jedno: portret babki Cecylji — co taki tragiczny żywot miała. Narzeczony jej poległ gdzieś w śnieżnych tumanach 1812 roku, a ona, nie mogąc przenieść jego śmierci i zawiedzionych nadziei, — odebrała sobie życie w grabowej alei.

Stary zegar z rycerzem, spóźniając się już nieco, wydzwaniał godziny i kwadranse zgrzytliwym, sędziwym głosem wmiejsce dawnego, srebrnego tonu. Naprzeciw szpinetu stało nowoczesne pianino, odbijając w swej czarnej, lśniącej

skorupie porcelanowy światek z komódki rżniętej w kolumienki. I tam niewielkie zmiany zaszły, — chyba to, że żółty chińczyk nie kiwał już głową, — i dworskiemu kawalerowi odtłukła się laseczka i spłowiały barwy szat.

Nadeszła dziejowa zawierucha — domek stał krzepko.

— — — — — — — — — — —

Od pianina płynęły dźwięki Warszawianki, — majestatyczne, mocne, proste — zapalając gorące błyski w oczach wspartego oń ułana.

— Prawda. Dzisiaj pożoga, krew i mord. Ale Halinko, z tej krwi, z tego dziwnego, wściekłego chaosu jaki wre naokół, z tej mgławicy bojów, zwycięstw i klęsk, — kędy herbowne ptaki walkę toczą na śmierć i życie, — kędy narody zwarły się w zaciekłej nienawiści, — z tego odmętu, otchłani Wojny— wydźwignie się wreszcie ciężkim, ale pewnym lotem nasz orzeł skrwawiony, poraniony ale żyw. Wzniesie się ponad ten chmurny i groźny kłąb w dole i zaśpiewa pieśń wolności. Wierzę w to, wierzę mocno!

Zwróciła się ku niemu matowa, blada twarzyczka, — i niebieskie źrenice z pod złotej czupryny pobiegły ku portretowi babki Cecylji.

Panna Halina westchnęła smutno.

— A potem porwę moją ukochaną by się niepojętem szczęściem upić i zapomnieć o tych wszystkich okropnościach i strachach. Zapadniemy w mój kąt, — tam w lasach Sandomierszczyzny i już nie będziemy śnić o wolnej Polsce — ale będziemy ją mieli naprawdę potężną i wielką. A w niej my.

Złota grzywka wsparła się w bezgranicznem oddaniu o czerwień wyłogów.

— Patrz! Purpura i złoto. Widzisz? Będziemy szczęśliwi! Purpura, symbol władzy królewskiej, znak wolności,— złoto — spełnienie marzeń i snów. Szczęśliwi i wolni! Halinko, kocham!

Usta poszukały ust, znalazły się i już się rozstać nie chciały. Połączone głowy otoczyła mgła rozkoszy, i okrążała je nimbem świętości. Wydało im się, że teraz właśnie powinna się pod nimi zapaść ziemia i pochłonąć ich, bo oto wypili do ostatka słodycz życia.

Rozległ się szloch cichy, wilgotny.

— „Halinko! Halinko! Płaczesz? Czego? — No, dziewczyno kochana, to trudno, ja przecie jechać muszę, ale wrócę, wrócę napewno. Posłuchaj mnie! I jak to będzie ładnie: na czele oddziału w czerwieni i srebrze, zbrojno i strojno. Nad głowami kolebią się nasze znaki, — i wiatr niesie dźwięki trąbki. Bębny biją, uważasz? Parada! Idą kolumny miarowym krokiem, a każdemu na czapce orzeł białe skrzydła rozpina i ogarnia go niemi jak swoje dziecię. Wracają chłopcy z pola, z kośby strasznej, zmęczeni lecz dziarscy. Zdala złowrogo huczą po bruku armaty, — złe, że ich rola skończona. Pójdą w kąt i zapomnienie. Błyszczą bagnety. A na przedzie my. Konie rżą, ciżba rozstępuje się przed nami — wiwatując i krzycząc w radosnem uniesieniu. Dźwięczą podkowy, brzęczą szable, dzwonią ostrogi. A w górze ukwiecone balkony — wstęgi, proporce. Deszcz kwietny! A wyżej turkusowe niebo pochlapane zlekka obłokami i jasne słońce. Z wieży hejnał...

— No, jeszcze płaczesz?

Panna Halina ciągle płakała cichutko.

Aż różowa pasterka schyliła posmutniałą główkę.

I modrzewiowe ściany trzaskać poczęły ze wzruszenia.

Ze ściany poważnemi zrezygnowanemi oczami patrzała na nich babka Cecylia, tuląc do piersi ryngraf, jak jedyną ucieczkę i pociechę...

— — — — — — — — — — —

W trzy dni potem dworek był spalony.

W bujnym szpalerze graby stały wyciągając boleśnie poosmalane gałęzie ku niebu.

U stóp okopconego Fauna leżał przedziurawiony kopytem, z potrzaskanemi ramami portret babki Cecylji. Faun patrzał nań zgóry i poczerniałą twarz krzywił do okropnego uśmiechu...

IX.

PRZYKAZANIE I ROZKAZ.

A więc stoję oko w oko ze śmiercią. I znajduję, że wcale tak straszną nie jest.

Wczoraj przybyłem do szwadronu. — Żebyś wiedział, braciszku kochany, jak dziwnie wyglądam teraz w ułańskim mundurze!

Wąsy niegolone zaczynają mi się sypać nie na żarty. Urosły mi włosy i jestem brudny.

Czasem przerażenie mię zbiera, gdy zajrzę w lusterko i zobaczę tam inny obraz niż ten, który widywałem dotąd w potłuczonem lustrze naszego klasztornego korytarza. Zamiast bladego kleryka w czarnej, wązkiej sukni z pobożnie skrzyżowanemi rękami i żywotami świętych pod pachą, — zawadjacka nieco z pod surowego czaka żołdacka twarz wygląda z tafli. A w głębi z za ramion o zgrozo, czerwone policzki zdrowej dziewuchy, gdzie stoję na kwaterze...

Apage satanas...

Żarty na bok.

— Faktem jest, że was porzuciłem. Pewnie zdziwiliście się bardzo i pewnie śpiewacie w kaplicy litanje na intencję zbłąkanej duszy.

Ale ja wolę naszą obozową pieśń od waszych kantyczek.

— Uważasz, braciszku, jak piszę? — „Waszych".

— „Nasze" pieśni zrodzone z młodych wzdymających się rozkoszą życia piersiach prą poprzez niebieskie powietrze poranku mocne, tryumfalne, niewolące, — biegną gdzieś po głowach kwietnych, po łanach, po wierzchołkach zbóż dalej w przestrzenie nieznane i dziwne.

Rozpędne i upojne są.

— A „wasze"?

Tułają się po klasztornych krużgankach, blade i nikłe, słabo wyszeptywane w ciężkiem dymie kadzideł i świec. I mają w sobie coś z rzeczy niedokonanych, niedoskonałych.

— — — — — — — — — — —

— Przepraszam Cię braciszku, — nie chcę obalać twych przekonań.

Ale nie dla mnie był klasztor jednak. Łudziłem się naturą moją miękką i kobiecą.

Było mi źle.

Przytem nie mogłem znieść tych chwil, kiedy leżąc krzyżem na progu kaplicy marzyłem o jej ustach i myślą popełniałem grzech za grzechem.

U arystokratycznych rodziców moich napewno postępek mój komentują bardzo. Schocking!

Ludzie, jacyście mali, i jak mi was żal szczerze!

Ja w wasze kępki podcinanych ciągle i podkrajanych na miarę możliwości pragnień nie wlazę...

Aut Caezar aut nihil...

Rabami jesteście życia i dobrze wam z tem, bo to do niczego nie obowiązuje, bo zwala z was odpowiedzialność za własne wasze szczęście...

A jam teraz jego panem. Wolno mi je zachować wolno odebrać, wolno zrobić co zechcę.

A może źle zrobiłem?

Kajać się chcę...

Ja bluźnię.

Czasem, gdy ochłonę z tego podniecenia i gorączki w jaką wtrąciła mię nagła zmiana położenia — gdy spojrzę na siebie, — siebie nowego, — staremi oczami niedoszłego księdza, — robi mi się zimno, — i strach i zgroza włosy mi podnosi na głowie!

Zdrajcą podłym wydaję się sobie i uciekinierem, — i potępionym wieczyście.

Ale wielkie jest miłosierdzie Pańskie.

Dwie były pobudki czynu mojego.

Ojczyzna jedna.

A druga...

Och, Panie, ułomnym człowiekiem jestem.

Ty, nie potępisz mię.

Bo wielbię Cię zawsze i teraz więcej może, — widząc twą potęgę i łaskę niezmierną i mądrość nieobjętą w tem wszystkiem co jest koło mnie i co jest teraz we mnie.

Bo wielbię Cię więcej w Twej wielorakiej postaci, która jest w kielichu wonnego kwiatu, — i w rozległej łące, i w zaśnieżonych szczytach gór... która jest we mnie i duszę mi wypełnia żywą siłą i pierś mi wypukla i głowę wzwyż wznosi poczuciem, że stoję w rzędzie twych mądrych tworów... Bo tutaj pod granatowym stropem nocy wielbię Cię więcej niż w chłodzie grobowym gotyckich sklepień. A patrz,—z kadzielnic kwiatów, Twoją zbudowanych dłonią — woń bije ku Tobie wspanialsza niż ze sreber klasztornych. I te łuny zachodów i pożarów płoną silniej niźli świece woskowe...

— — — — — — — — — — —

Ogarnia mię w tę noc sentyment. Noc na kwaterze. Braciszku, Ty nie wiesz co to jest stać na kwaterze. I skądbyś wiedział Ty — ksiądz!

Czarowna noc.

Braciszku, Ty wiesz kto ona...

Takbym chciał do choroby (niech cię nie urazi żołnierski styl) te moje wszystkie smutki co gnębią wypłakać tam, na pewnych białych piersiach, — chciałbym im wywalić serce z piersi jak kartofle z worka, by przekonały się, że czyste i ładne. A wtedy możeby poszły w kąt nareszcie postronne rzeczy... Możeby się uniosły westchnieniem entuzjazmu i zdobyły na odzew.

Ale nie... piękne piersi wolą zawsze niż spazm żywego upojenia i rozkoszy — rozpaczliwy, ustrojony w tęczę smutek i łzawe podrywki wezbranych płuc... Bo pewnie... jakże trudno wierzyć, że szczęście jest, — jeśli nie doskonałe to w każdym razie wystarczające, by zasłonić życiową gnojówkę — a rozpiąć na cudownej siatce poezji koronkę kochania...

Och ludzie... bójcie się tak zawsze objawionej myśli unikajcie światła, — bebrajcie się w gęstej mazi własnych utrapień, — a zawsze będzie wam dobrze, jak motylowi skąpanemu w atramencie.

Ja uciekam od was.

— — — — — — — — — — —

Braciszku, czuję, że przeklniesz mnię za ten list.

Ale widzisz, ja już nie mam na sobie zakonnej sukienki.

Już nie mam tej ponurej czerni, która mię dławiła.

Panoszy mi się szkarłat na piersi...

Noc pachnie, brzmi ułańska piosenka i cudny księżyc jest. I szabla przy boku, w miejscu różańca. I ból w piersi ten sam co dawniej, — ale przynajmniej dzisiaj — dozwolony.

I wszystko byłoby dobrze, tylko zabijać to już nie będę.

Bo przecież wierzę głęboko i prawdziwie.

Będę strzelał do góry.

— Napisz braciszku co słychać w naszej celi i kto sypia na moim łóżku.

Twój Damian, brat w Chrystusie.

W ciemnym kwadracie okienka zapaliła się daleka łuna i krwawą frendzlą chybotała na horyzoncie. Wpadł ciepły podmuch nocny pełen woni. Płomyk świecy zakołysał się i zgasł Księżycowa poświata zwycięsko rozlała się łagodnem światłem po niebie. Nad zapisaną ćwiartką pochylony ułan o gładkiej, wygolonej, łagodnej twarzy oparł policzek o kant stołu i spał znużony.

Na bladych, ascetycznych wargach błąkał się uśmiech.

W prawej ręce wyciągniętej przed się na stole — sterczał mały krucyfiks wycinając się twardym, ciemnym konturem na tle pożogi.

Lewa dłoń miłośnie przyciskała do piersi szablę.

— — — — — — — — — — —

— Obywatel Damian weźmie dziesięciu ludzi i zajmie cmentarz poza wsią na wzgórzu. Po zajęciu na wieży kościołka postawić obserwatora, — resztą ludzi obstawić przedpole poza ogrodzeniem. Zdać komendę na kaprala,—sam stawić się do raportu. — Brzmiała odprawa.

Ex-kleryk stał wyprężony, topiąc w sinych oczach komendanta wzrok błyszczący pragnieniem siarczystej służby, żądzą czynu i pochwały.

— W tył, zwrot! Marsz!

Obrócił się jak na sprężynie i hamując krok, — któremu chciałby skrzydeł dodać, ruszył miarowo ku drzwiom.

Ale za progiem wyciął hołupca.

— Ho, podjazd!

I nagle stanął zmieszany.

— Gdyby mię tak opat zobaczył!

— Ale, ba — machnął ręką — to za mną! A przedemną świat otworem i ona!

Pełen tęsknego zadumania odwiązywał konia od płota.

— — — — — — — — — — —

Maleńki oddziałek wywinął z pod gąszczu jabłoni, z kępy sadów, ogrodów i chałup, i cienką ścieżyną wpełzł między bogate kolebiące się łany zbóż.

Ułani jechali stępa, zdejmując z głowy ciężkie czaka i ocierając rękawami spocone czoła.

Damian jechał pierwszy odbiwszy się nieco od towarzyszy. Wesoły już nie był.

Na jego bladej twarzy rozlał się wyraz nabożnego skupienia. Puścił wolno cugle koniowi i wydostał z torby przy siodle nabożną książkę.

Między kolegami z tyłu rozległ się cichy chichot.

Ale Damian nie zwracał na to uwagi.

Teraz był tylko sługą Bożym i niczem więcej.

Roztworzył książkę i pogrążył się w czytaniu.

Naokoło spokój był zupełny.

Tylko na lewo gdzieś, daleko — artylerja zmacała widać nieprzyjaciela, — bo huknął strzał, wlokąc za sobą głuchy świst, — potem drugi i trzeci.

Bezwietrzny dzień letni upalny był jak wnętrze pieca. Gorąco w dziwny sposób czuć się dawało, — wyglądało to tak, jakgdyby nie słońce grzało, — a każdy kłosek zboża zosobna wydmuchiwał z siebie żar. W jaskrawym blasku błyszczące kłosy robiły wrażenie, że sparzą rękę, która się ich dotknie. Jaskrawo niebieszczyły się habry i płonęły maki. Z pod kopyt koni wzbijał się prostopadle w górę kurz i drapał w gardle, — gryzł w oczy.

A jednak było z tem gorącem dobrze.

Oko błądziło po malowniczej perspektywie.

Na lewo błysnęła czasem pod słońce rzeczka szczerem srebrem, jak trzepocząca się ryba. Równina naprzód spływała płową falą zbóż, by na przeciwległym stoczu zazielenić się polem kartofli,—a dalej wyprysnąć ku górze drewnianym wiejskim kościołkiem i lasem opasujących go krzyży.

Na prawo ode wsi, obiegał krzywym łukiem pola las nizki, sosnowy podszyty jałowcem i po brzegach leszczyną i dotykał przeciwnej strony cmentarnego płotu. Do tego punktu miała dotrzeć wyprawa brzegiem lasu, by zostawić tam potem konie i z zasadzki niespodzianie podejść kozacki patrol, który zgodnie z raportem wywiadowców, ulokował się na cmentarzu i w samym kościołku.

Błogostan jakiś bił od tych pól nieświadomych tego, że przeznaczone im jest zostać nieuprzątniętemi tego roku, nad tym lasem, który nie widział tam pełznących ze stron dalekich spiżowych potworów, które niedługo zorzą jego łono, porać będą siekącymi pociskami i toczyć sok życia z okaleczałych pni. Śmiał się ten kraśny a nieszczęśliwy kraj, — i dla uświadomionego był ten uśmiech jak grymas konającego.

Damian westchnął zcicha i bladoniebieskie marzące oczy wzniósł w niebo.

Jego ściągła, blada twarz miała ekstatyczny wyraz. Nagły przypływ miłości do Wielkiego Sprawcy Życia, do Niezbadanego Tajemniczego Twórcy, opłynął mu duszę i niósł ją prostą i szczerą na serafinowych skrzydłach ku niebu.

Damian zapomniał o wojnie, o patrolu,—o świecie. Przez chwilę zdawało mu się, że w te południowe godziny jak zwykle znajduje się w wielkim refektarzu, pogrążony w głębokiej modlitwie. Chyli się czarna fala zakonników ku ziemi uwielbieniem przejęta dla słodkiego Męczennika. Na szczupłe barki, opięte sutannami z wązkich okien spływa roztopione złoto słońca siejąc rubinami, turkusami i opalami barwnych witraży. A ponad te smugi rozpięte ramiona tętnią zda się krwią żywą i z niewysłowioną miłością garną ku sobie świat cały, pełne udręki, — miłosierdzia i poświęcenia.

Korzą się głowy zakonników.

A on co?

Słabeusz i egoista. Choćby i ofiarą ze siebie była dlań czarna sukienka...

Duch buntowniczy zrzucił rzeźbione różańce, — a przywdział te plamy kraśne na piersi, — od których zmysłowego szkarłatu łuny mu biją na twarz.

Co on?

Miłość doskonałą skaził, dopuściwszy by obok niej jako chwast bujnie rozpleniła się ta druga ziemska nawskroś...

— — — — — — — — — — —

Zapomniał w tej chwili, że oburzał się zawsze i buntował przeciwko suchej martwocie klasztornego życia. Niesłychanie wrażliwa i głęboko wierząca dusza jego, niewinna, dziecięca zupełnie — wiecznie zmagała się i walkę prowadziła w nim o lepsze, z usposobieniem bujnem i żywotnem, ruchliwem i czynnem niezmiernie.

Chwilowo zwyciezka natura, której zadaniem było żyć, walczyć i przekonywać, — ustąpiła elegijnej duszy.

Korzył się...

— — — — — — — — — — —

Zagrała obok końska śledziona.

Kapral zasalutował: „Obywatelu, wachmistrzu, zbliżamy się. Cmentarz niedaleko".

Damian ocknął się.

— Prawda. Jechali po lesie i żywiczna woń mile łaskotała nozdrza.

Niechętnie wydawał rozporządzenia. Wolałby teraz na tym cmentarzu usiąść z brewiarzem w ręku, zatonąć w bezbrzeżnej kontemplacji.

A on go musi zdobywać.

— Zsiąść z koni. Tyraljerka. Pójdą pieszo. I czekać mojego strzału...

Cicho, zdradziecko, ściskając karabiny w garści, skradali się ułani między zaroślami, drapieżne oczy zatapiając niby ostrza sztyletów między pręty żywopłotu.

Damian szedł pochylony, przypadając ku ziemi od czasu do czasu wprost na otwarte drzwi kościołka.

Drewniany, stary kościołek stał cichy i przygarbiony, pod naporem olbrzymiego, spadzistego dachu, który jak troskliwa kokosz rozsiadł się szeroko nad pociemniałemi ze starości, krzywemi, modrzewiowemi ścianami.

Słońce, chyląc się ku zachodowi, rzucało ukośne promienie i czerwone jego plamy wybitnie odcinały się na ścianach od ciemno-fioletowych cieni rzucanych przez okapy. Kunsztownie rzezana koronkowa wieżyczka błyszczała miedzią krzyża, co jak płomienna iskra zdobił jej szczyt.

Bił od kościołka spokój tajemnicy.

Cisza zresztą była dokoła.

Damian dosięgnął ostatniego krzaka i przyczaił się za nim. Iść dalej było niesposób.

Rozejrzał się.

Najlżejszy szmer nie zdradzał obecności człowieka.

Odetchnął z ulgą.

Najwidoczniej niema nikogo.

I uspokojony zapuścił wzrok w głąb kościoła, gdzie w mroku połyskiwały słabo złocenia ołtarza.

Damian uderzył się w piersi i szeptać zaczął słowa gorącej modlitwy.

Nagle zwinął się w sobie i zdrętwiał.

We drzwiach stanął kozak i szył do koła podejrzliwym okiem.

Exs-kleryk, stanął poraz pierwszy oko w oko z wrogiem.

Poraż pierwszy w życiu, miał przed sobą człowieka, o którym nie wiedział nic, oprócz jednego—że trzeba go zabić.

I wstrząsnął się z obrzydzeniem.

Ohydna wizja mordu przesłoniła mu na chwilę swą trupią zgniłą twarzą ołtarz rozjarzony nagle w głębi kłębowiskiem ogni, jakie zapaliło słońce w złoceniach i ozdobach.

Trzeba, koniecznie trzeba...

Powoli podniósł uzbrojoną w rewolwer dłoń.

Gdzieś za lasem zagrzmiało.

I nagle Damianowi zdało się, że wielka ruda chmura, która ciężkim kadłubem zawisła właśnie nad kościołem rozwarła się i wybiegł z tamtąd cichy głos.

Przepojony bólem, słaby a dobitny:

— Nie zabijaj!

Damianowi dłoń zwisła ku ziemi kamiennym ciężarem. I pod sklepionem czołem rozszalał się rój myśli, szybkich, urwanych a ciężkich, ważkich i zawiązał się bój.

Tysiące młotów zatłukło w skroniach.

Ze słońcowych promieni, z ogni co biły z kościoła, z barw pól uwiła się nagle wstęga smuglasta i pomykała mu szybko przed nieprzytomnemi oczyma pokazując w swym chyżym pędzie obrazy cudne, strojne a różne, — o barwach nikłych, mglistych.

Widział twarz Chrystusową z pomiędzy fałd płótna wyviniętą o oczach smutnych — strojną w męczeńskie rubiny krwi.

Marzenia, pragnienia pełne świętych idei przesuwały się błyskawicowym ruchem.

Tryumf nauki Chrystusowej pełny i niezaprzeczony.

Narody zjednoczone miłością.

Dusze ludzkie wolne od grzechu.

Tłumy katów i poniewierców w pokorze.

Bezładnie zwisłe łańcuchy niewoli.

Radosne pochody mas, zapatrzonych w Dobro i Piękno.

— — — — — — — — — — —

Ogarnęła go ogromna skrucha, i uniesienie bez granic. Nakrył zamglone łzami oczy powiekami i modlić się począł szczerze z głębi duszy.

— O Panie wybacz!

— Wybacz mi, bo Cię kocham!

— Niegodny jestem, iżem nakazy Twoje podeptał i zniweczył, podły tchórz jestem bom uciekł ze służby Twojej, sądząc, że ciężką jest. A ona słodką i zaszczytną, boś ty Pan nad Pany, bo niemasz królów nad Ciebie,—bo niemasz potęgi nad Ciebie, — bo słowo Twoje to cud, co z chwiejnych mórz opoki czyni — co zmartychwstawać każe...

Boś Ty jest miłość... Słodkie i mocarne nauki Twoje, co z brygantów czynią serafinów, a z nierządnic brylanty korony Twojej.

Boś Ty jest władza... Trony do bosych poranionych stóp Twoich, stóp biednego wędrowca padały w pokorze i zasypane pyłem zapomnienia, konały.

Boś Ty jest Sąd... Za dobre nagradzasz a za złe karzesz, i niemasz zbrodniarza, któryby uszedł sprawiedliwego oka Twego. Wrogiem jesteś występków, boś Prawda i Dobro.

Boś Wszechwiedny i Wszechobecny... Znaną Ci droga najlżejszego wietrzyka i bieg chmury i lot ptaka. Znasz cele ludzkich dążeń i zabiegów. Znasz ich cele...

Kocham Cię Panie!

— — — — — — — — — — —

A wtem obłok wydłużył się nagle, w płaszczyznę bez końca, smutną i zimną. Śniegowe pola biegły w bezkres znacząc się tylko po sobie niewyraźnym zasypanym szlakiem.

Zabałwaniła się znienacka zamieć i w tumanie zaszarzał sznur, pochylonych w zmaganiu z wichrem ludzi.

Połączeni w jedno łańcuchami szli dzieci i starce, blade zmęczone i w poniewierce wielkiej. I jakaś twarzyczka słodka, taka podobna do niej.

Z boków świeciły bagnety i rozwiewały się poły burych płaszczy konwoju.

Przerażony patrzał Damian na tę zmianę.

I w myśli zdrętwiałej odbiło się echem:

„Obywatel Damian weźmie dziesięciu ludzi i zajmie cmentarz po za wsią“...

— — — — — — — — — — —

Huknął strzał i kozak runął na wznak w głąb kościoła. Z lasu wypadli ułani niosąc śmierć.

— — — — — — — — — — —

Wieczorem do kwatery komendy zeszli się oficerowie po rozkazy.

Komendant w grupce szukał oczyma Damiana:

— Co z Damianem? Wrócił?

Zawołany wystąpił, podszedł twardym krokiem i sprężył się.

Krótko i energicznie rzekł:

— Rozkaz spełniony, komendancie!

K O N I E C.

TREŚĆ:

I. W LUBLINIE . . . . . str. 7
II. BEZBIEDERKA . . . . . „ 17
III. LIST POŻEGNALNY . . . . . „ 35
IV. BRZOZA . . . . . „ 41
V. BIWAK ZA BUGIEM . . . . . „ 49
VI. MAGIK . . . . . „ 57
VII. WOŚ . . . . . „ 65
VIII. DWOREK . . . . . „ 73
IX. PRZYKAZANIE I ROZKAZ . . . . . „ 81

Księgarnia Nakładowa W. JAKOWICKIEGO. Warszawa, Bracka 23

POLECA: Ceny w rublach.

BARANOWSKI I. **Wieś i folwark.** Studja z dziejów agrarnych Polski . . . . . 2.—
— **Z dziejów Rodów Patrycjuszowskich miasta starej Warszawy.** (Wyd. Tow. Mił. Hist.). . . . . —.65
— **Kalisz, rys. historyczny** . . . . . —.50
BAUDOUIN de COURTENAY. **Pod Ostrołęką.** Epizod z r. 1831 (skonfiskowane przez cenz. ros.) . . . —.30
BRODOWSKI FELIKS. **Reforma włościańska 1864 r.** . —.50
DROBNIEWSKA M. **Co rodzice własnym dzieciom dać mogą i powinni.** Praca odz. na konk. D-ra Sokołowskiego —.20
GIEDROYĆ FR. **Porządek ogniowy w Warszawie do r. 1836** (Wyd. Tow. Mił. Hist.) . . . . . —.80
HORODYŃSKI WACŁAW. **Rok 1863.** Opisanie wypadków powstania 1863 r. przez ich uczestnika dotychczas żyjącego . . . . . —.25
JAROSZYŃSKI TAD. **Zmora.** Nowele . . . . . 1.—
JEZIERSKI E. **Walerjan Łukasiński.** Życiorys . . . . —.25
— **W. Ks. Konstanty i Księżna Łowicka** . . . . . —.25
— **Targowica.** Powieść hist. dla młodzieży 1.35
KAMIENIECKI W. **Geneza Państwa Litewskiego** . . . —.75
KONARSKI K. **Pałac Brühlowski w Warszawie** . . . . 1.—
KRAUSHAR AL. **Salony i zebrania literackie warszawskie** na schyłku XVIII w. i w ubiegłym stuleciu (Wyd. Tow. Mił. Hist.) . . . . . 1.—
KRĘCKI AUG. **Zbiór Materjałów do Historji Powstania Styczniowego 1863—1864-go roku.** Zeszyt 1 i 2 po —.60
KWASIEBORSKI St. D. **Częstochowa za Konfederacyi Barskiej** 2.20
ŁAGIEWSKI CEZARY. **Andrzej Zamoyski** (życiorys) . . —.25
MALISZEWSKI EDWARD. **Czarnogórze** z ilustr. . . . —.30
— **Albanja** z ilustr. . . . . —.50
Mapa dawnej Rzeczypospolitej polskiej w stanie obecnym —.30
Mapa okolic Krakowa z tekstem objaśniającym . . . . —.50
NOYSZEWSKI—PIOŁUN STANISŁAW. **Akordy.** Poezje . 1.20
Pamiętniki króla Stanisława Augusta. Część I tomu I Tłom. z fr. wyd. Akademji Nauk w Piotrogrodzie. 2.50
PINON ANIELA. **Dar Grenadjerów.** Opow. dla młodzieży 1.—
SAMBORSKI H. **Wspomnienia z Powstania 1863 r. i pobytu na Syberji** . . . . . 1.—
THUGUT ST., MOSZCZEŃSKA IZA, STUDNICKI WŁ. **W palącej sprawie szkolnej,** Język ros. w szkole polskiej . . . . . —.20
WAKAR W. **Stanowisko dziejowe Polaków** . . . . . —.15
— **Sto lat walki o szkołę polską** . . . . . —.60
— **Polska — I. O ziemi polskiej** (krótka geografja) . —.20
WOJEWÓDZKI HABDANK WITOLD. **Trzy ciosy** . . . 1.50
Zbiory Kartograficzne. Próba instrukcji do katalogowania i konserwowania zbiorów kartograficznych . —.45

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

30

358535

11.06.39

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu
CM 314716
000-314716-00-0